



PASJE LITERACKIE

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W ZIELONEJ GÓRZE
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA im. CYPRIANA NORWIDA

Nr 2-3/2020

Zielona Góra

ISSN 2658-0543

Lubuskie Wawrzyny 2019 rozdane!

Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Gala Lubuskich Wawrzynów organizowana była tydzień później, kiedy w Zielonej Górze odwołano wszystkie imprezy, a działalność placówek została nieuchronnie ograniczona... Na szczęście uroczystość wręczenia tych prestiżowych wyróżnień odbywa się zawsze w ostatni czwartek lutego i literaci oraz miłośnicy książek zdążyli się spotkać. I tak, 27 lutego 2020 r. Sala im. Janusza Koniusza w zielonogórskim Norwidzie pękała w szwach, a emocje rosły z minuty na minutę. Do konkursu zgłoszono 42 książki: 25 w kategorii poezja i 17 w kategorii proza, które, po raz pierwszy, oceniane były przez dwie kapituły. Trzeba zaznaczyć, że poziom tegorocznego konkursu był wysoki, zbiegło się dużo dobrych książek i obrady trwały długo. Zastanawiano się nad różnymi pozycjami i w dyskusjach pojawiało się wiele nazwisk, ale ostatecznie Wawrzyn Literacki w kategorii proza otrzymała Zofia Mąkosa za powieść *Wendyjska Winnica – Winne miasto*, a w kategorii poezja nagrodę zdobył Marek Lobo Wojciechowski za tomik *Dzień kreta*. Nagrodę za debiut li-

teracki, Srebrne Pióro, otrzymała Hanna Chmielewska za tomik *W poszukiwaniu łaski* (obie kapituły musiały wspólnie wybrać zwycięzcę). W kategorii proza nominacje do nagrody otrzymali Hanna Bilińska-Stecyszyn za biografię *Pelunia* i Marek Krukowski za opowiadania *Jamimoje*. W kategorii poezja nominowane zostały Beata Patrycja Klary za tomik *Martwia* i Marzena Więcek za tomik *Hekabe Suka liże wiatr*. Wyróżniono również walory edytorskie tomiku Justyny Koronkiewicz *Naturalna kolej rzeczy*. Dyplomy honorowe za całokształt twórczości otrzymali Leszek Libera (proza) oraz Ireneusz Krzysztof Szmidt i Jolanta Pytel (poezja).

Warto dodać, że zdobywcy Wawrzynów otrzymali nagrody finansowe w wysokości 5000 zł oraz srebrne pióra autorstwa żarskiej artystki Anety Pabjańskiej-Moskwy.

Historia Lubuskiego Wawrzynu Literackiego sięga 1994 r., a pomysłodawcą nagrody był Alfred Siatecki. Organizatorami konkursu są oczywiście Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida

w Zielonej Górze oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp. Koordynatorem Lubuskich Wawrzynów od siedmiu lat jest dr Przemysław Bartkowiak, kierownik Działu Regionalnego WiMBP w Zielonej Górze.

Można, jak zawsze, przyjąć werdykt jury albo z nim polemizować, ale warto się najpierw zapoznać z wyróżnionymi książkami. Ich fragmenty publikujemy w tym numerze.

Agnieszka Ginko-Humphries
sekretarz Lubuskiego
Wawrzynu Literackiego



Szanowni Czytelnicy!

Trzymają Państwo w rękach kolejny numer „Pasji Literackich”. Powiększyła się objętość tego numeru i liczba osób współpracujących, a to wszystko dzięki wsparciu dyrektora WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, dra Andrzeja Bucka. Wspólnie tworzymy więcej i lepiej, a wyniki naszej pracy mają Państwo przed sobą.

Ten numer zdominowała największa impreza literacka w naszym województwie, czyli Lubuskie Wawrzyny 2019. Na dalszych stronach czasopiśma znajdą Państwo uzasadnienia werdyktów jury, a także teksty autorów nominowanych, m.in. Marka Krukowskiego, Beaty Patrycji Klary, Marzeny Więcek. Oprócz tego prezentujemy tomiki poetyckie Agnieszki Ginko, Haliny Jerulank, poezję Czesława Markiewicza, Renaty Diaków i Justyny Stachury, prozę Anny Konstanty oraz podania i legendy Regionu Kozła Eugeniusza Kurzawy.

Rozpoczęliśmy także cykl felietonów Haliny Bohuty-Stapel, a także powołaliśmy do życia rubrykę „Pocztą Literacką”, gdzie będziemy oceniać twórczość nadesłaną przez Czytelników.

Na zakończenie numeru proponujemy wywiad z laureatami Lubuskich Wawrzynów Literackich, czyli Zofią Mąkosą i Markiem Lobo Wojciechowskim.

Prosimy o przesyłanie swoich propozycji literackich na adres redakcji.

Zyczę miłej lektury!

Redaktor Naczelny **Marcin Radwański**

50-lecie twórczości Alfreda Siateckiego

W czwartek (5 grudnia 2019 r.) w Bibliotece Norwida odbył się benefis pisarza i dziennikarza oraz redaktora Alfreda Siateckiego, członka oddziału ZLP w Zielonej Górze.

Na uroczystość przybył prezydent miasta Janusz Kubicz, który odznaczył benefisanta medalem za zasługi dla Zielonej Góry. W imieniu Urzędu Marszałkowskiego wystąpiła Iwona Peryt-Gierasimczuk, a pod koniec spotkania Leszek Kania uhonorował dyplomem jednego z ważnych autorów wydawanych przez Muzeum Ziemi Lubuskiej. Spotkanie było podzielone na cztery części, podczas których pytania jubilatowi zadawali jego koledzy, m.in. z dawnej pracy w „Gazecie Lubuskiej”. Dlaczego właśnie teraz A. Siatecki świętował?

– Debiutowałem 50 lat temu w tygodniku „Wiadomości Zachodnie”, wydawanym w Szczecinie, gdzie wtedy studiowałem. Opowiadanie *Poranek* ukazało się

25 października 1969 r. – opowiadał jubilat. I właśnie od tego momentu liczone jest 50-lecie twórczości. Wcześniej, bo w czerwcu 1968 r., w „Głosie Szczecińskim” pojawił się jego pierwszy tekścik dziennikarski. A później publikował kolejne teksty prozatorskie. Co dziwne, w 1972 r. w „Nadodrze” ukazało się opowiadanie *Głupi Stach* z informacją „debiut”. Niedługo po tym Hilary Kurpanik przeczytał opowiadanie na antenie Radia Zielona Góra. Pierwsza książka, zbiór opowiadań *Podzwonni ręczniacy*, wyszła w 1980 r. w wydawnictwie Iskry.

– Dotąd ukazały się 32 książki z moim nazwiskiem na okładce – przyznaje Alfred. – W 22 pracach zbiorowych są moje opowiadania. Jako dziennikarz napisałem co najmniej 20 tysięcy tekstów (może i więcej) bardzo długich, długich i króciutkich, tzn. reportaży, wywiadów artykułów publicystycznych, informacji, notek. (ek)

Gala wręczenia „Winiarki”

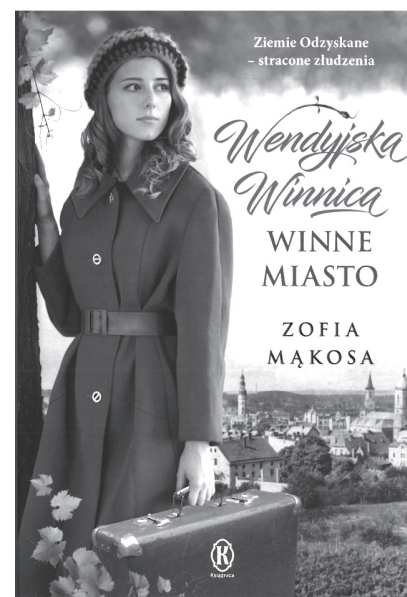
29 października br. w Bibliotece Norwida w Zielonej Górze odbyła się doroczna gala Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka”.

Organizatorem spotkania jest Stowarzyszenie Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. Od pięciu lat przyznaje swoje laury. Najważniejszym jest uhonorowanie osoby zasłużonej dla literatury i życia pisarskiego w Winnym Grodzie. Ale interesująca jest również nagroda specjalna – przyznawana za zwycięstwo w konkursie literackim na utwór o Zielonej Górze. Nagrodą jest wydanie przez SMZG „Winnica” – rok później – książki przygotowanej przez zwycięzcę. W ubiegłym roku w tej kategorii wygrały utwory Anny Konstanty z Gubina, która podczas gali otrzymała z rąk prezesa Ryszarda Błażyńskiego pierwszy egzemplarz swojej książki (zbioru opowiadań) *Cztery do kwadratu*. W tym roku konkurs na utwór zielonogórski wygrał Adam Żuczkowski z Wolsztyna (przygotował zestaw wierszy) i on za rok będzie się cieszył z wydanej przez „Winnicę” książki, prawdopodobnie poetyckiej. Natomiast główną nagrodę jury pod przewodnictwem R. Błażyńskiego przyznało Eugeniuszowi Kurzawie, „poecie, publicyście, wieloletniemu prezesowi zielonogórskiego oddziału ZLP, animatorowi licznych poczynań kulturalnych, [...] w ostatnich latach oddanemu idei powołania w Zielonej Górze placówki archiwalno-badawczo-muzealnej poświęconej literaturze lubuskiej” – jak mówił fragment uzasadnienia. I rzeczywiście w swojej wypowiedzi laureat mówił właśnie o tym, że warto, aby miasto Zielona Góra przejęło mieszkanie po zmarłym poecie Januszu Koniuszu i urządziło tam – we współpracy z Uniwersytetem Zielonogórskim – tego rodzaju instytucję. W ramach imprezy promowano ponadto dwa tytuły. Stowarzyszenie – swoje pismo „Na Winnicy”, kolejny, szósty numer, zaś oddział Związku Literatów Polski – pierwszy numer nowego periodyku „Pasje Literackie”.

Franciszek Stroński

Wendyjska Winnica – Winne miasto – Lubuski Wawrzyn Literacki 2019 w kategorii proza

Po ukazaniu się pierwszej części *Wendyjskiej Winnicy* wiedzieliśmy już, że na Ziemi Lubuskiej pojawiła się pisarka, która potrafi nadać doświadczeniu historycznemu miejsca położonego na polsko-niemieckim pograniczu ciekawą, literacko atrakcyjną postać. Nie przypuszczaliśmy jednak, że wydanie drugiego tomu wendyjskiego cyklu stanie się wydarzeniem, które przyćmi sukces debiutu. *Winne miasto* to powieść nie tylko sprawnie skonstru-



owana (operująca spójną narracją, wartką fabułą i pogłębianym wielowymiarowym rysunkiem postaci), to także książka, na którą długo, bo przeszło 70 lat, czekali mieszkańcy regionu, a w szczególności – mieszkańcy „winnego miasta”.

Zofia Mąkosa stworzyła powieść założycielską. Pokazując „moment zerowy”, gdy niemiecki Grünberg przemienia się w polską Zieloną Górę, opowiedziała historię z gatunku *fiction of memory* (termin Brigit Neumann) i dowiodła, że literatura może być czymś więcej niż tylko medium pamięci zbiorowej i że nie należy jej sprowadzać do artystycznie przetworzonej faktografii.

Winne miasto to również powieść enograficzna. Osiągnięciem autorki jest zbudowanie takiej relacji między pamięcią a tożsamością kolektywną, w której trauma fundacyjna oraz związany z nią problem moralny zostają przeniesione w sferę symboliczną. I nie chodzi jedynie o grę znaczeń, opartą na homonimicznej wymienności: „winne miasto – miasto win”. Pisarka sięga bowiem po motyw winiarski oraz związane z nim symboliczne imaginarium, by wyzyskać je na wielu płaszczyznach: by mówić o tym, co wyparte i przemilczane; by dopisać swoje literackie postscriptum do problemu winy, o którym pisał po zakończeniu wojny Karl Jaspers; by ukazując współistnienie biopamięci i historii (przenikanie się świata roślin i ludzi) zarysować krajobraz kulturowy miasta i wytworzyć reprezentację organizującą przestrzeń współbycia.

Książka Zofii Mąkosy nie usprawiedliwia, ani nie

oskarża. Jej przesłanie służy odzyskiwaniu pamięci, umacnianiu więzi z miejscem i konsolidowaniu lokalnej wspólnoty. Udany wyraz artystyczny w połączeniu z mądrym wyważonym głosem pisarki składają się na efekt, który bez wątplenia zasługuje na Lubuski Wawrzyn Literacki.

prof. **Małgorzata Mikołajczak**
przewodnicząca kapituły

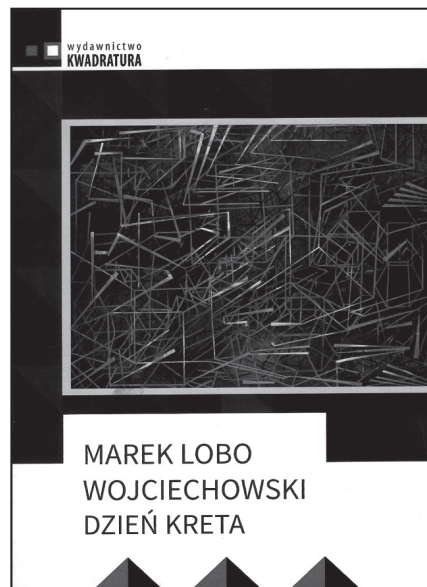
Zofia Mąkosa, *Wendyjska Winnica – Winne miasto*, Publicat, Poznań 2019.

Dzień kreta – Lubuski Wawrzyn Literacki 2019 w kategorii poezja

Czytając *Dzień kreta*, stajemy wobec kogoś, kto mierzy się z rozpaczą i nie chce o tym powiedzieć wprost. W świecie wierszy Marka Lobo Wojciechowskiego bohater liryczny (a czasem podmiot) „wygrzebuje z siebie siebie” (*dzień kreta*, s. 5). „Wygrzebuje” w świecie społecznym i świecie prywatnym. Wszystko jest tutaj „także”, czyli – samozwrotne. Bohater (podmiot) jest tym, który patrzy i tym, który doznaje. Obserwując to, co wokół niego, sam jest przedmiotem obserwacji. „To tylko my, coraz dalsi” (*szkic, przestrzenny*, s. 48). Doświadczając bliskości drugiej osoby, czuje jej (swoją) zbędność (*ultima thule*, s. 18). Bohater (podmiot) „bywa w miejscach, pomiędzy” (*dzień kreta*, s. 5). Nic nie jest mu obce, albo – wydaje nam się, że nie jest mu obce.

Wypowiada się w swoim i nie swoim imieniu. Dlatego raz jest bohaterem, a raz podmiotem, lirycznym „ja”. Ustawia się w różnych sytuacjach, zmienia sposoby mówienia. Niekiedy przyjmuje pozycję mentora (*no dobra, wchodzisz*, s. 10), kiedy indziej zaś kogoś złamanego przez życie (*rozdzanie*, s. 11). Czasem wystarczy mu samo oglądanie (*starówka*, s. 12), w czym przypomina Marka Hłaskę z *Pierwszego kroku w chmurach*, czasem dodaje do tego swój – milczący – komentarz (*zderzenia*, s. 15).

W tym świecie – mówi podmiot – „Coś się jawi nagle / i nie wiem, czy ja piszę, czy jestem pisany” (z *Kołakowskim*, w *urodziny*, s. 17). W stanie rozszczepienia obrazu rzeczywiste i literackie nakładają się na siebie, wiążą z sobą i nie mogą się bez siebie obejść. „Całość robi wrażenie małej dbałości / o szczegóły, ale jest w miarę wiarygodna” (*skrawki*, s. 39). Co stanie się, gdy coś się skończy i zacznie inne? Gdzie będą ci, których wciąż określamy zaimkami osobowymi? „Jak się czują inni bez nas?” (*coraz mniej*, s. 49). „Gdy jesteś komuś światem / całym i ten świat zabierasz – cóż zostanie / po tobie?” (*wychodzisz, drzwi za sobą zamykając*, s. 23).



końca / nigdy" (*balans*, s. 28). Czy rzeczywiście jednak „nie dowiesz się nigdy, / co będzie" (*wychodzisz, drzwi za sobą zamykając*, s. 23). „Śnieg zasypuje drogi, liże / stare rany spękanego asfaltu" (*next, more next*, s. 29). „Z tą wiedzą / jakby trochę lżej" (*korozja*, s. 46).

Rozszczepienie jest stanem bytu, przedmiotem refleksji. Bohater/podmiot poezji Marka Lobo Wojciechowskiego nie wchodzi w rolę – jakby powiedział Søren Kierkegaard – „ulubieńca etyki", czyli bohatera tragicznego. Nie sięga po otwartość piętnującą los. Nie jest też bohaterem estetycznym, zatajającym prawdę egzystencjalnych zdarzeń. Nie sięga po środki ostre, choć powie w odruchu rezygnacji: „wyszło jak zwykle, / pospolicie, do wyrzygania" (*skrawki*, s. 39); nie zasłania się zbędną metaforą, choć i po nią sięgnie, pisząc o nieuchronnym oddaleniu: „Twoja koszula – / plama na płótnie nocy" (*szkic, przestrzenny*, s. 48). Balansuje na granicy stylów. Będąc współczesny (rzeczywisty), chce być poetycki.

Wojciechowski pragnie intelektualnie opanować żywioł istnienia, wyzbyć się zbędnych emocji. Choć jest to poezja o człowieku i jego doczesności, nie pokazuje jednostkę jako bytu cielesnego, zmysłowego, widzianego od trzewi. Uczucia – choć ujawniane – chowane są pod podszewką słów. Poeta jest kulturalny, bo rzeczywistość jest brudna. „I choć spadają gwiazdy, / do Betlejem nie dojdzie nikt" (*zsyłka*, s. 47); „i koniec pieśni nie jest eufemizmem, lecz / pojedynczym, pękniętym dźwiękiem" (*przejście*, s. 52).

W wierszu *atlantyda* przeczytamy: „straciłem dwie rzeczy: / cel i sens" (s. 31), ale w tym wyznaniu podmiotu nie ma ani otwartości, ani zatajenia. Jest natomiast coś, co można nazwać zabłąkaniem, nieświadomością rozpacz. „Jeżeli rozpacz jest zabłąkaniem, to nawet jeżeli się o tym nie wie, zabłąkanie pogarsza stan błędzenia" – pisał Kierkegaard o człowieku w jego doczesności. „Nie ma tego złego, co na dobre? / A jak

Wrzuceni w świat, znamy jego przestrzeń i doświadczamy w nim czasu. Przestrzeń nas ogarnia, nawet jeśli nie zawsze uwodzi. Czas nas uwodzi, ale nie chcemy, by nas ogarnął. Jesteśmy tu, byliśmy tam, gdzie będziemy? To pewne: „przeszłość / umiera rzadko, a do

było dobre – kiedyś – co teraz?" – pyta Wojciechowski (*afazja*, s. 44). Odpowiedzi poszukuje w rozmyślaniach nad doczesnością i wiecznością.

W *Dniu kreta* wieczność nie budzi lęku, a doczesność nie spotyka się ze złorzeczeniem. Pytaniu: „Na kim się wesprzesz, gdy odejdę?" (*coraz mniej*, s. 49) towarzyszy pewność, że zawsze „pójdiesz sam, boso, na ślepo" (*przejście*, s. 52). Chciałoby się powiedzieć, że bez balastu i z ufnością, bo choć „jutro nas zje" (*zwierzę*, s. 42), to przecież stale wędrujemy w stronę bramy, która jest „nieuchwytnie znajoma / jak coś, co masz na końcu języka" (*przejście*, s. 52).

Poezja Marka Lobo Wojciechowskiego jest mądrą próbą szukania odpowiedzi na pytania, które są stawiane zawsze tak samo, choć przez wciąż innych ludzi. Są to pytania wyobraźni w bezustannym napięciu. Poszukując jasności, spotykają się z ciemnością. Noc wciąga i noc oczyszcza. „Nikt nie wgląda / do końca, ciemność jest łaskawa, tylko księżyc – / po trosze obojętny, po trosze bezradny" (*sawanny*, s. 22). Wiersze w *Dniu kreta* są spod znaku księżyca.

prof. Marian Kisiel
przewodniczący kapituły

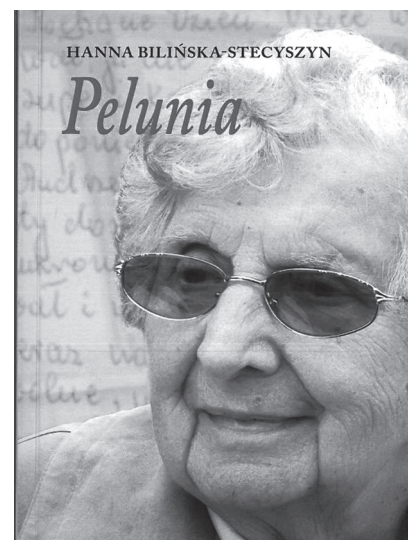
Marek Lobo Wojciechowski, *Dzień kreta*, Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2019.

Pelunia – nominacja do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2019 w kategorii proza

Pelunię Hanny Bilińskiej-Stecyszyn rozpoczyna akapit:

„Moja mama miała bardzo piękne dłonie. Drobne, delikatne, pod koniec życia wręcz aksamitne. »A tyle się te ręce w życiu narobiły«, powtarzała, gdy się nimi zachwyciałam. Palce miała dłuższe niż moje, szczupłe, zakończone kształtnymi migdałami paznokci. I zawsze zazdrościłam jej wygiętych kciuków" (s. 7).

Te inicjalne zdania dają wyobrażenie o książce Autorki z Lubniewic. Od razu dowiadujemy się, że przedmiotem opisu jest matka Autorki. Tom na-



leży więc do bardzo dzisiaj ekspansywnej odmiany pisarstwa – biografistyki, która ma swoje monumentalne realizacje i wyzwała burzliwe debaty: prasowe, telewizyjne, internetowe.

Dodajmy, że w tym wypadku jest to biografistyka rodzinna. Hanna Bilińska-Stecyszyn świetnie rozumie, jak opowiedzieć o najbliższej osobie. Nie pisze historii czy kroniki rodu. Wybiera inny sposób przedstawiania. Tu książka biograficzna składa się z krótkich rozdziałów, które odsłaniają kluczowe zdarzenia z życia matki. Autorka zaczyna od portretu, szczególnego jednak, bo skupia się na dłoniach matki. Są one charakterystyczne, bo piękne i aksamitne. Słowo biografki utrwala więc dotyk. Autorka wspomina zarówno czuły gest matki, kiedy była dziewczynką, jak i uścisk ogrzewający zziębnięte dłonie dojrzałej córki, gdy przybywa w odwiedziny do szpitala. Lecz opis rąk, będąc fragmentem portretu bliskiej osoby, stanowi w ekspozycji książki swoisty plan opowieści. Pelunia była bowiem krawcową. W szóstym rozdziale dowiemy się, jak matka Autorki przyuczała się do zawodu, w którym tak ważna jest sprawność palców. A Pelunia potrafiła stwarzać „krawieckie dzieła". Z czasem powstał szyty dla córki „strój krakowski" na występy „Wiosny nad Nysą" i na sypanie kwiatków podczas procesji Bożego Ciała. Dodajmy, że inny rozdział książki nosi tytuł *A tyle się te ręce napracowały* i traktuje o domowym podziale obowiązków (oczywiście niesprawiedliwym). Hanna Bilińska-Stecyszyn odtwarza w nim z dbałością etnograficzną domowe pranie: w balii przy użyciu tarki i szarego mydła (s. 114).

Możemy się zastanawiać, na czym jeszcze polega sukces biografki? Kryje się on pewnie w ambitnie pomyślanym przedsięwzięciu, które Hanna Bilińska-Stecyszyn zasygnalizowała już w pierwszym rozdziale. Chodziło o to, by opisać „długie, nie najgorsze życie i dobrą starość" matki (s. 8).

Jak to jednak robi? Wiemy, że ostatnio, za sprawą wykładu Olgi Tokarczuk, wiele się mówi o sztuce opowieści. Bilińska-Stecyszyn wykorzystuje jednak inny model narracji niż ten, za którym tęskni nasza noblistka. Nie chce z czułością opowiadać o całym świecie i nie poszukuje narratora czwartoosobowego. Pragnie w pogodnej tonacji zrelacjonować życie (tylko) swojej mamy i tak uzasadnia swoją pisarską powinność: „Lubiła kiedyś nam opowiadać różności ze swojego życia. Potem pozapominała. Myliły jej się osoby, imiona; normalne w tym wieku – i na szczęście nie dokuczał jej Alzheimer, tylko »zwyczajna« miażdżycza" (s. 8).

Biografka-córka niejako zbiera i utrwala dawne historyjki. Po co? Żeby zrozumieć matkę, aby poznać siebie, by pojąć historię: Poznania, Gubina, Lubniewic.

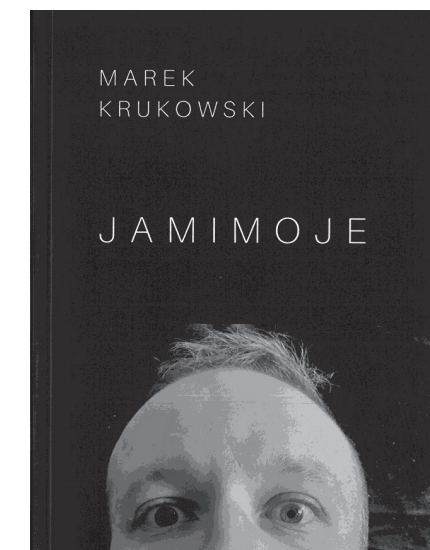
Taka odmiana biografistyki może nam się przydać, kiedy i my zechcemy przedstawić nasze matki oraz naszych ojców.

prof. Jerzy Madejski

Hanna Bilińska-Stecyszyn, *Pelunia*, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Lubniewice 2019.

Jamimoje

– nominacja do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2019 w kategorii proza



Fragment

Ruina. Matka mi nigdy na nią nie pozwoli. Przynajmniej dopóki przynależę do jej domowego inwentarza, do jej rodowej zastawy. Dopóki jestem jej ulubionym bibelotem. Ona każe mi nazrywać śliwek na przetwory, kompot i ciasto.

Nazrywałem. Dwa wiadra.

Umyłem, wydrylowałem i pokroiłem. Wsypałem do wielkiego gara. Dziadek przesmaży później na powidłach. Babcia pracowała wraz ze mną. Na półmetku, po pierwszym wiadrze, skapitulowała. Ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Musiała się położyć. Zażyć kropli: na serce, na żołądek, dla wzmocnienia. Ale we mnie wciąż jest siła, która pozwala uwiesić się śliwy za najniższą gałąź i targać całym drzewkiem, jakby się było najprzedniejszą wichurą. Tracąc równowagę. Dyndając na gałęzi, grożącej złamaniem.

Dwa wiadra śliwek. Obmyć. Wydrylować. Posiekać. Do gara. Na ogień. Podsmażyć.

Babcia zatoczyła się do kuchni. Położyła dłoń na moim ramieniu i delikatnie ją zacisnęła, dając mi do zrozumienia, że się spisałem, że wciąż sobie radzę z tym i owym.

Słoiki wypełnione gęstymi i lejącymi się powidłami w rubinowym kolorze stanowią niezaprzeczalny kondensat mojej siły. Błyszczą wypucowanym szkłem i mienią się czymś, co opuściło mnie na zawsze, by jako słodki pocieszyciel powrócić do nas w ponury, zimowy czas.

Marek Krukowski, *Jamimoje*, wyd. sumptem autora, Zielona Góra 2019.



Martwia

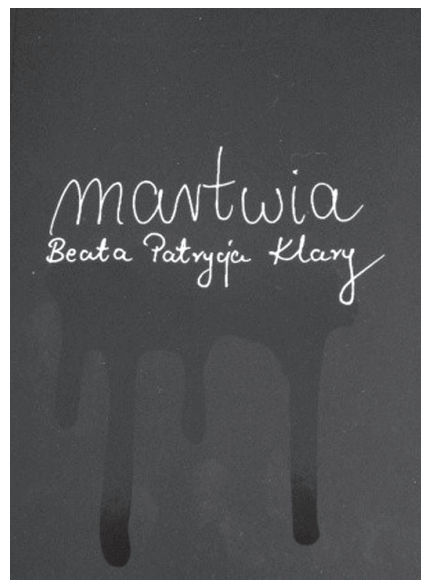
– nominacja
do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2019
w kategorii poezja

Trzepelka

Zamiast trawy rozgrzana blacha. Wysokie garaże.
Samotne trzepaki. Lubi zwisać u samej góry.
Ma wtedy całe niebo pod stopami. Bóg z wami.

Dzisiaj w domu

jest dużo wujków. Chodzą po kuchni. Coś mówią. Po głowie głaskają. Gruby bierze jak swoją. Kolanka ogląda. Spódniczka taka krótka, noga biała, blada. Mały bawi się warkoczami. Mówi, że ciemne włosy pachną świeżym mlekiem. On śmierdzi wódką, cuchnie skarpetami. Podają sobie dziecko jak cukierki, które nie są z cukru. Czasem Ciotka Chuda siada im na kolana. A oni mówią, że jest zazdrosna. Duża suka – guza szuka.



Dziadek jest

jeden, za to na poważnie. Szorstkie ręce. Jesionka stara, zawsze niedoprana. Zęby co drugie wypadły. Pieniążki daje. Papierki kolorowe. Papierek za cukierek. Taka magia sklepu. Przewrócił się na ulicy. Rozpoczął umieranie. Coś w nim zaczęło odchodzić. Rozstawały się ręce. Żegnały ze sobą nogi. Każde poszło w swoją stronę.

Piec jest

ciepły, kaflowy, poniemiecki, domowy.
To się odbywa na granicy błysku, na ostrzu spojrzenia, gdy decyduje, co złapać. Pas zwisa na piecu obok suchej wędliny, z której ścieka tłuszcz. Piec jest ciepły, kaflowy, poniemiecki, domowy. Grzeją przy nim ręce i suszą majtki. Te zawsze trzeba zdjąć. Zęby mleczne zagryźć. Szybko krzyżeć, to może przestanie. Nie. Nie krzyczy. Dusi się od ognia. Piec jest ciepły, kaflowy, poniemiecki, domowy.

Taniec żurawi

a nikt się nie bawi. Dzieci bogatych kradną wyłącznie zabawki. Te biedne biorą chleb. W snach przegryzają nim tłuste kawałki. Noce głodnych pachną sianem i gorącym mięsem. Krokiem wilków cała zgraja wybiega na pole. Matki nie lubią na to patrzeć. Drewniane ptaki do zabawy wystrugają same. Z jednego patyka

Stul gębę!

Ty jesteś taka szmata, wszędzie się wślizgujesz.
Oczy wielkie wystawiasz, wszystkich irytujesz.
Udajesz głuchą? Dostaniesz w ucho, kłamczucho.

Beata Patrycja Klary, *Martwia*, Załącznik Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2019.

Hekabe Suka liże wiatr

– nominacja do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2019
w kategorii poezja

I który jest

Jesteś moją harmonią
w obłędzie
głosem boga którego nie ma
i który jest
gdy tulisz się do moich piersi

Moją modlitwą jesteś
gdy zapominam
żyć

Synu.

O czwartej nad ranem

Dorocie Halamie

„Liczą się ci przyjaciele, do których możesz zadzwonić o czwartej nad ranem.”

Marlena Dietrich

Gdy za gardło chwyci mnie śmierć
o czwartej nad ranem
i zdolna będę zebrać na kolanach o dom dla syna
by los pozwolił Mu jeszcze frunąć
wysoko
bez krzyża na małych różowych pleckach
wiem że tam będziesz –

Będziesz zebrać
dla mnie.

Prawdziwa modlitwa
rodzi się
tutaj.



Dwudziestoletni z mojej klasy

Dwudziestoletni z mojej klasy
poobrastali mchem
nie zachwyca ich dokąd odlatują
jastrzębie naszych marzeń

Chorują na krtień białaczkę krztusiec
dwubiegunowe psychozy
są już zmęczeni
walczą z depresją i nadwagą
nienawidzą swoich krewnych
nienawidzą Żydów i trochę siebie
Ojciec nasz

Dwudziestoletni z mojej klasy
mają już duże dzieci
te dzieci
biegną jeszcze
co sił co sił co sił
na ostatnie piętro wieżowca

by spotkać Boga.

Marzena Więcek, *Hekabe Suka liże wiatr*, Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Zielona Góra 2019.

Modlitwa spod znaku Ryb Agnieszki Ginko

Najnowszy tomik poetycki Agnieszki Ginko ma okładkę intensywnie niebieską. Jak niebo albo głębia oceanu. Ascetyczne, jednolite tło nie jest zaskoczeniem, gdy poznamy tytuł – *Modlitwa spod znaku Ryb*. Towarzyszymy w nim Autorce w modlitwach rodzinnych, ciepłych wspomnieniach dzieciństwa i rodzinnych historii oraz tęsknoty za najbliższymi, którzy odeszli. Jest to także zapowiedź głębszych refleksji – poszukiwania prawdy o sobie, sensu życia i przemijania w obliczu śmierci.

Druża część tomiku zawiera oprócz modlitw – elegie, poetyckim słowem dotykające najtrudniejszych problemów współczesności, pokazanych przez pryzmat osoby wrażliwej, empatycznej, niegodzącej się na zło tego świata.

Rozważania Agnieszki kończą psalmy, które są drogą do prawdy – „prostej jak dłoń dziecka”, wiary, miłości we wszystkich jej odmianach, wdzięczności i pełni życia, głosząc jego pochwałę poprzez zwątpienia, poszukiwania, świadomość kruchości i wewnętrznej siły.

„Wtulona w słowo”, pięknie się nim posługując, dotyka duszy czytelnika rozważaniami, z którymi prędzej czy później musi się zmierzyć każdy z nas – pouklądać przeszłość, poczuć wdzięczność za teraźniejszość i z odwagą spojrzeć w przyszłość.

Poetka mobilizuje, by dostrzegać niezauważalne, wyrażać nieopisane, dopowiadać siebie. Książka, napisana z potrzeby serca i chwili, zawierająca wiele odniesień autobiograficznych, staje się uniwersalną refleksją, która z pewnością zachwyci czytelników.

Elżbieta B. Kościucha-Wieczorek

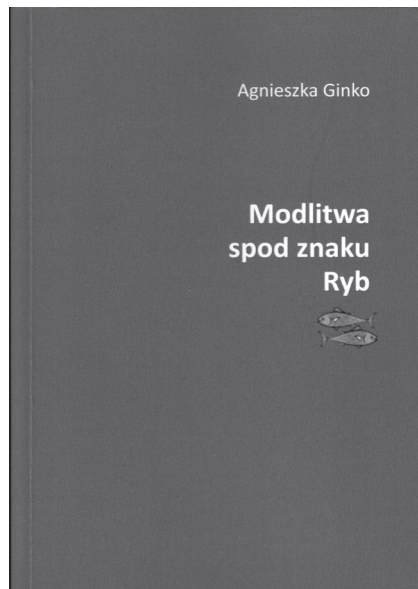
Wybrane wiersze z tomiku *Modlitwa spod znaku Ryb*

U dziadka

W czterech płotach starości
jaśniej od pękających wspomnień.
Nie czołgał się przez okopy,
ale w drodze do szkoły bez butów
liczył ziarna gorczy.
Pęknięte kości ramienia,
połamana gałąź, przejmują sny,
które płyną do nich z łopatki.
O czym śni dziadek?
O progę, o który się potknął?
O cukierkach chowanych przed braćmi w szufladzie?
O zabawach w pchły?
O papierowym świetle partii, z której wyrzucili go,
gdy przyzwoity był jak osioł?
Dziadek od orzechów, łaskotek i innych smakołyków
w poczekalni do nieba.

Elegia dla uchodźcy

Na krańcu morza
codziennie umiera Jezus
pod przewróconą łodzią.
Muszle zatykają mu usta.
Pienią się wody
i niezgłębione są jego myśli.
Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?
Na krańcu morza
codziennie umiera Jezus
w przedsionku do nieba?
Tam, gdzie tańczą ryby morskie,
gdzie kwitną kamienie,
gdzie blask?



Agnieszka Ginko, *Modlitwa spod znaku Ryb*, Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Zielona Góra 2020.

Chwile przemysłów zawarte w najnowszym tomiku Haliny Jerulank

Tomik, o którym chcę napisać, zatytułowany jest *Przed Tobą* i ukazał się w 2018 nakładem wydawnictwa Pro Libris, przy WiMBP w Zielonej Górze. Autorka – Halina Jerulank pochodzi z Nowego Sącza, z wykształcenia jest rusycystką, wieloletnią nauczycielką. Pisanie wierszy jest jej hobby, podobnie jak rysowanie i publikowanie na łamach „Gazety Lubuskiej”. Dotychczas ukazały się publikacje: *Życie, kochanie, przemijanie* (2015), *Wspomnienia, przemyslenia, zdarzenia i oczekiwania* (2016), *Smaki, obrazy, wybory życia* (2016), *Co mi w duszy gra* (2017). Najnowszy tomik zatytułowany *Przed Tobą* jest bardzo bliski codzienności tyczącej się każdego z nas.

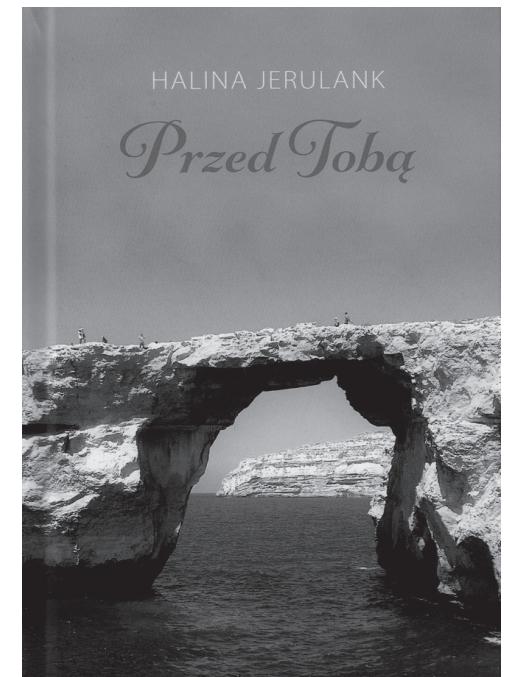
Dotyczy sfer przemijania, upływu czasu, w trakcie to którego przytrafiają się nam różne zdarzenia i przeżycia oraz sfer: przyrodniczej, filozoficznej i uczuciowej. A więc „Nic co ludzkie nie jest nam obce”. Ową postawioną tezę sugerują już same tytuły poszczególnych utworów, choćby: *Przez życie, Dziękuję, Przemijanie*. W wierszu *Pamiętajmy o tych, co odeszli* autorka pisze:

Tutaj nikt z nikim się nie kłóci
Nikom nikt nie zazdrości,
Nie słysząc głośnych rozmów,
Nie podejmując się gości.

Jest też wiersz poświęcony zmarłej przyjaciółce *Gosi W*, którą i ja znałam, a nawet miałam okazję z nią pracować swego czasu w Zespole Szkół Technicznych im. M. Kopernika w Zielonej Górze. W tomiku *Przed Tobą* nie brakuje też subtelnie skonstruowanych erotyków, świadczących o dojrzałej miłości. Należą do nich takie wiersze jak: *Szeptem, Poprowadź, Jesteś, Moja melodia, Mój przyjaciel*. Ten pierwszy warto zacytować w całości:

Szeptaj mi, tak czule do ucha,
Rozkoszuj dotykiem pieśniedoty,
zniewalaj czułym spojrzeniem oczu hipnotyzuj,
na wszystko ci dzisiaj pozwalam.

Halina Jerulank zadaje też szereg pytań filozoficznych w wierszach: *Moment, Mój bunt, Dwulicowa, Schody nade mną i we mnie*. W ostatnim z nich wypowia-



da się na temat wolności. W wierszu *Schody* porównuje codzienne wyzwania do pokonywania stopni schodów kamiennych lub gładkich. W wierszu *Moment* pisze: „Moment jest bratem chwili i czasu...”. Warte zauważenia są także wiersze poświęcone tematyce przyrodniczej. Dla przykładu – w wierszu *Nocna wichura* przyrównuje wichurę za oknem do wichury niespokojnego serca, a więc rozterek uczuciowych. Wątki przyrodnicze i erotyczne zarazem dotyczą wizyty wschodzącego słońca, które... „wtargnęło do sypialni, by obejrzeć nagie ciało, w pomiętej pościeli”. Tomik *Przed Tobą* emanuje spokojem i zdystansowaniem do życia dojrzałej kobiety. Osoby, która buduje świat poetycki i prawdziwy, a więc swój los dzięki bystremu spojrzeniu i umiejętności porównań.

Na uwagę zasługuje też talent rysowniczy autorki. Jest sporo rysunków przypisanych poszczególnym wierszom, co z pewnością powinno zaciekać potencjalnego Czytelnika i spowodować, że tomik *Przed Tobą* znajdzie swoje miejsce na półce biblioteczek z literaturą piękną.

Anna Wiwiana Szewczuk

Stownik wyrażen pokretnych

hulajnoga – tancerz
parzenica – swatka
zagajnik – mówca otwierający obrady, dyskusję itp.
zębatka – dentystka
wyjętek – płaczliwe niemowlę

(HB-S)

Czesław Markiewicz

blond sweat and tears

wojaczek wciąż głosi swoją
pieśń. w tym samym międzyczasie nadużywany ginsberg
gryzie ziemię skowycząc nad potokiem. a to tylko
zwykła piosenka. i wieża choć najwyższa łatwo wspiąć się
z grobu na szczyt. nie kalecząc po drodze końca
języka tępyimi aluzjami –

nam też nie jest lekko. od rzeki bije
mazutowa bryza. w parku śmiertelny zapach
świeżo skoszonej trawy. właściwy most w remoncie. jakby
na drugim brzegu tak wystawionego po brooklińsku
ostrowa tumskiego –

wysokie są topole i domy w których nikt
nie zamieszka bez zgody na niski lot skojarzeń. bo oni dają
wiecznie stamtąd znaki. skąd. dokąd. z jakiej wysokości skoczyć
z krawędzi języka żeby nie ominąć tego najmniejszego
z tańczących wahań –

nie odgrzebiemy tajemnic różniących moc i krew. pot łzy. spermę
od śliny. choćbyśmy do kości obgryźli ich języki;

velvet underground

kahlo nie patrzy przed siebie. maluje
z pamięci. ultramaryna cayoacan pokrywa się z podmiejskim
błękitem pierwotnej galicji. frida nie miesza jej
z wapnem. wapno jest śmiertelną słabością rozpadającej
konstrukcji. niczego nie spaja. bo

jest jedną z kobiet wspinających się po odpustowych
schodach. magdaleną albo carmen. nikt z tutejszych
nie rozpoznaje w rozpadającej się po kawałku twarzy tego
właściwego autoportretu. frida musi się pośpieszyć. ma mniej
czasu niż każda z miejscowych kobiet na rozgrzeszenie. dlatego

na niewyschniętą farbę nakłada werniks. umierając na raty
martwymi palcami zaciera ślady pośpiesznego życia. zużyta
płeć ściga się z wyobraźnią. zbyt gwałtowne pociągnięcia
pędzla defasonują lustrzane odbicie. frida tego nie widzi. już

po właściwościach śmierci obraz zaczyna żyć
własnym życiem. żywiczna siła werniksu rozwapnia
nieuzmysłowione. z twarzy kahlo spływają utrwalone na zawsze
krople w kształcie łez. kobiecych piersi. eliptycznego wosku
spływającego ze świecy. jak kawałki zaschniętej
ultramaryny na graffiti pod górą świętego marcina;

Renata Diaków

Nie mam szalika

Nie mam szalika, kochany,
a idzie zima.
Nie mam szalika – powtarzam – marznę od środka.
Masz ten zielony – mówisz – ten czerwony i ten brązowy.
Milkiesz, a ja
jeszcze bardziej marznę w cieniu twoich słów.
Nie mam szalika, kochany – powtarzam – zimno mi.
Masz ten – mówisz – masz ich dużo w szafie.
Milkiesz, a ja
już nie czuję stóp.
Nie mam szalika, kochany, nie mam – powtarzam.
Masz ten – mówisz – jeśli chcesz, kup sobie nowy.
Milkiesz, a ja
mam coraz bardziej sine usta.
Nie mogę przecież kupić twoich rąk.



Justyna Stachura

Przetrwanie

Bądź pozdrowiony dniu codzienny
Rutyno która ukrywasz szaleństwo
Jak cudownie się w ciebie zatopić
Odepchnąwszy przeszłość
Nie czując teraźniejszości
Marzyć o przyszłości



PERYSKOP LITERACKI

Siła czy słabość kobiecości

Weekendowe obiady szykuję w sobotni poranek, gdy
w regionalnym radiu akurat leci audycja dla dzieci, od lat
przygotowana i prowadzona przez redaktor Elżbietę Wo-
zowczyk-Leszko. Słuchając jej dość regularnie, zwróciłam
uwagę na to, że wśród gości tej audycji – a są to przed-
szkolaki albo uczniowie niższych klas szkoły podstawo-
wej – przeważają dziewczynki. Owszem, zdarza się, że
wśród nich znajdzie się jakiś rezolutny chłopiec, ale sta-
tystyki wyraźnie wskazują na przewagę małoletnich pań.

Na przeciwnym biegunie wiekowym można by
usytuować środowisko słuchaczy Zielonogórskiego Uni-
wersytetu Trzeciego Wieku, a ponieważ moja partnerka
kabaretowa Ola Matusiak-Kujawska jest tam instruktorem,
więc często bywam na widowni, gdy na scenie jej
„studentów” popisują się umiejętnościami nabytymi pod-
czas zajęć. I tu znów przewaga pań, i to zdecydowana.

Idźmy dalej, a konkretnie na deptak, do naszego
zielonogórskiego teatru, gdzie przekrój wiekowy wi-
dzów jest bardziej zróżnicowany. Odbierając płaszcz
z szatni, mam doskonałe pole obserwacyjne; grupkom
radosnych nastolatk z rzadka towarzyszy młodzian,
bywa też, że panie w wieku balzakowskim, a i te nie-
co starsze, przychodzą w towarzystwie swoich życio-
wych partnerów, lecz wśród publiczności teatru prze-
ważają wieloosobowe, barwne grupki złożone wyłącz-
nie z kobiet, żywo komentujących obejrany spektakl.

Sięgam po marcowy, a więc sprzed kilku miesię-
cy numer naszej lokalnej gazety wydawanej przez
Urząd Gminy Świdnica, w której zamieszczono foto-
grafie zwycięzców gminnego etapu konkursu recyta-
torskiego. I tu znów, w każdej z trzech kategorii dzie-
cięco-młodzieżowych przeważają dziewczęta – wśród
dziewięciu laureatów jest zaledwie jeden chłopiec.

Nieco korzystniej dla panów wygląda statystyka
dotycząca zdobywców laurów sportowych, aczkol-
wiek wiem skądinąd, że nawet sport wędkarski w na-
szej gminie uprawiają z upodobaniem nasze panie.

No tak, mamy rok 2020. Z kart historii można wy-
czytać, że zaledwie przed stu laty dzielne polskie sufra-
żystki parasolkami i krzykiem musiały walczyć o swoje
podstawowe człowiecze prawa, jak chociażby prawo
bycia pełnoprawnym obywatelem świeżo odrodzonej
Polski. Nie tylko prawo do bycia jej mieszkańcem, ale
właśnie obywatelem, z możliwością zabierania głosu
w najważniejszych sprawach, na równi z mężczyznami.
A na przykład Szwajcarki musiały czekać na to pół
wieku dłużej niż my – prawa wyborcze uzyskały bo-
wiem dopiero w roku 1971.

Znam małą, przytulną kafejkę przycupniętą nieda-
leko podnóża naszych zielonogórskich „hiszpańskich
schodów”, prowadzących z deptaka na plac Słowiań-
ski. Sącząc kawę (naprawdę świetną), przyglądam się
dyskretnie twarzom innych smakoszy, obsiadających
stoliki tego zacnego lokalu.

Większość stanowią młode kobiety – perfekcyjny
makijaż, wypielęgnowane dłonie, no i ta pewność sie-
bie, pewność swojego ja, taka zupełnie naturalna, bez
cienia buńczuczności, taka oczywista. Nie wiem, kim
są, dziś jest mi bardzo trudno odróżnić maturzystkę od
zadbanej trzydziestolatki, ale imponuje mi ich barwna
mozaika, którą tworzą ich gładkie buzie, rozwichrzo-
ne włosy i ten błysk w oku, radosny, choć stonowany
śmiej. Piękne, pewne siebie, rezolute, radosne. No
i przede wszystkim – samodzielne. Przyglądając się im,
uświadamiam sobie, że zaledwie sto lat temu uchodzi-
łyby w opinii publicznej za kurtyzany, które zamiast
trzymać się jakiegoś mężczyzny, przypisanego im pra-
wem rodzicielskim lub małżeńskim, szlają się same
po lokalach, rozpustnice rozwiąże! (Niektóre z nich być
może nawet nie orientują się, czym był kiedyś gorset
i większość z nich na co dzień chadza w spodniach).

No tak, zaledwie sto lat z drobnym okładem, a ja-
kiż skok cywilizacyjny zrobiłyśmy. A przecież nie tak
dawno temu, w epoce Marii Skłodowskiej-Curie, stu-
dentki, chcące podczas przerwy w zajęciach skorzystać
z WC, były zdane na uprzejmość właścicieli barów lub
kafejek usytuowanych w pobliżu uczelni, bo w gma-
chach ówczesnych uniwersytetów nie przewidziano
tego przybytku dla kobiet.

W moim odczuciu status kobiety zmienił się diame-
tralnie w porównaniu z sytuacją naszych babek i choć
ekstremalne w swoich dążeniach działaczki organiza-
cji feministycznych wypisują na transparentach okrzyk:
„Chcemy więcej!”, to i tak jestem pod ogromnym wra-
żeniem tego, co kobiety osiągnęły przez ostatnie sto
lat. No właśnie – osiągnęły, czy musiały to wszystko
sobie wywalczyć?

Przerzucam stertę czasopism wetkniętych pod blat
stolika w salonie i w jednym z marcowych numerów
„Wysokich Obcasów” czytam zamieszczony tam komu-
nikat, że wreszcie w kinematografii światowej osiągnię-
to statystyczną równowagę między ilością pierwszo-
planowych ról męskich i kobiecych. Tak, zdarzyło się to
na początku 2020 roku, choć od czasu skonstruowania
pierwszej kamery filmowej minęło sto lat z okładem.

A wdeptując na literackie podwórko – cieszy lite-

racki Nobel dla Olgi Tokarczuk, a wcześniej – noblow-ski laur dla Wisławy Szymborskiej.

No, a nasze regionalne Wawrzyny – Zofia Mąkosa, dojrzała dama, choć świeża debutantka, podwójna zdobywczyni tej zacnej nagrody, zaś za rok 2018 nagroda ta także zwieńczyła skroń kobiety – laury zdobyła, także za prozę, Halina Grochowska. Kilka lat wcześniej zdobywczynią tej nagrody, za poezję, była Jolanta Pytel-Marciniszyn, a parę lat po niej – gorzowska poetka Beata Patrycja Klary czy związana ze środowiskiem zielonogórskim Paulina Korzeniewska. No, a za rok 2019 aż cztery nominacje trafiły do piszących par, o czym szerzej w tym numerze naszego pisma. Czy to mało? A może należałoby raczej spytać, czy to nie za mało?

Czy te fakty opisane w moim felietonie wystarczą, by poczuć pewną satysfakcję i dumę z siły dzisiejszej kobiecości? Są ludzie potrafiący cieszyć się z małych zwycięstw, ale może taka postawa rodzi stagnację? Może należy nieustannie przeć do przodu i wyrwać swój kawałek tortu z większą determinacją?

Wiem, że są takie regiony świata, gdzie w dziedzinie zrównania praw osób obu płci jest naprawdę dużo do zrobienia, ale nie o tym chcę teraz mówić. Tak sobie rozmyślam, czy George Sand, przycinając cygaro z szelmowskim uśmieszkiem i zakładając nonszalanko nogę na nogę, odzianą – o zgrozo! – w spodnie, byłaby dumna z pozycji Europejki pierwszego dwudziestolecia XXI wieku?

Jestem związana ze sfeminizowanym środowiskiem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów i co poniedziałek mam okazję, przy naszej ulubionej herbacie malinowej, w podziemiach „Prywatki” podziwiać aktywność poetycką moich koleżanek, niczego nie ujmując panom, którzy także są bardzo istotną częścią naszej mikrospołeczności, stanowiąc twórczy, ciekawy kontrast do kobiecych wynurzeń literackich.

Te spotkania są dla nas odskocznią od codzienności, „Prywatka” jest dla nas zarówno salką wykładową, jak i swoistym salonem literackim, w którym gościemy na równych prawach z naszymi kolegami. Zastanawiam się dość często, czy ostatnie sto lat pracy nad zrównywaniem pozycji osób obu płci to osiągnięcia duże czy znikome? I czy w dziedzinie literatury możemy już mówić, podobnie jak w kinematografii, o osiągnięciu stanu pewnej równowagi?

Przed niespełna stu laty, bo w roku 1926, w tomiku *Pocałunki* mistrzyni miniatury poetyckiej Maria Pawlikowska-Jasnorzewska tak kreśliła portret damy wywodzącej się z kręgów ówczesnych wyższych sfer:

Widzę cię w futro wtuloną
wahająca się nad małą kałużą
z chińskim pieskiem pod pachą,
z parasolką i różą... I jakżeż ty zrobisz
krok w nieskończoność?*

Jakże krańcowo różny portret współczesnej przedstawicielki tej warstwy społecznej rysuje się chociażby po lekturze wywiadu z Ursulą Brzezińską-Hołownią („WO” nr 14 [1080], 04.04.2020). Abstrahując od poglądów i pozycji jej męża, pani Urszula, choć spełniona w roli matki kilkuletniej córeczki oraz żony polityka z pierwszych stron gazet, postrzega siebie samą jako byt absolutnie samodzielny. Z zawodu jest pilotem odrzutowca, jedną z trzech pierwszych kobiet oficerów uprawiających ten zawód w Polsce. Na łamach wspomnianego wyżej czasopisma wypowiada się tak: „Pochłania mnie nie tylko samo latanie, ale też klimat na lotnisku, zapach nafty”. I dalej: „[...] sama sobie bardzo wysoko stawiałam poprzeczkę. Uważałam, że jako kobieta muszę więcej z siebie dać [...], że nie mogę sobie pozwolić na jakąkolwiek niesprawność, na nieprzygotowanie [...]”. I dodaje: „[...] teraz jestem szczęśliwa, bo mając 32 lata jestem bardzo świadoma siebie [...]”. Nie muszę się przeglądać w oczach innych, [...] nie chcę realizować czyjegoś zamysłu na moje życie [...]”.

No co, spory skok do przodu, czyż nie?

A może znajdujemy się oto w schyłkowym czasie ery patriarchatu? Jeśli mężczyźni przekażą nam stery tego świata, sytuując samych siebie na drugim planie, to czy można żywić nadzieję, że motorem rozwoju technicznego tej nowej, „babskiej” cywilizacji zamiast techniki wojennej, jak ma się to teraz, będzie na przykład medycyna? A może kobieca logika każe nam się zastanowić, dlaczego na naszej planecie w przeważającej części pokrytej przecież wodami ludzie i zwierzęta cierpią na brak wody zdatnej do picia? Wody, której coraz częściej brakuje nam zarówno do celów spożywczych, jak i higienicznych. (Ta refleksja dopadła mnie właśnie teraz, gdy dane jest nam wszystkim zaznawać ogromnego niepokoju związanego z zagrożeniem biologicznym, którego źródła można i należy doszukiwać się m.in. w zaniedbaniach higienicznych gospodarzy planety, zwanej dumnie Ziemią).

Może zamiast brnąć w coraz wymyślniejsze technologie służące unicestwianiu życia nadchodzi właśnie czas na przekazywanie środków finansowych, służących opracowywaniu technologii pozyskiwania wody słodkiej z przepastnych zasobów naszych oceanów?

Wierzę, że niepokój, który przeżywają teraz wszyscy mieszkańcy Ziemi, spowoduje zmianę naszego sposobu myślenia. Na lepszy. I że znajdą się tacy, którzy we sprą to swoim piórem. Wierzę, że proces ten ujmą w literackie cugle tacy twórcy, którzy, niezależnie od płci, potrafią wysoko ustawić sobie poprzeczkę.

Halina Bohuta-Stapel

* Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *La precieuse* z tomiku *Pocałunki*.

Biała dama, czyli legendy i podania z Regionu Kozła

W roku 2019 ukazała się niezwykle ważna dla dorobku literatury baśniowej i legendowej naszego regionu pozycja Eugeniusza Kurzawy, zatytułowana *Biała dama z pękiem kluczy. 111 podań i legend Regionu Kozła*. Region Kozła tworzy sześć gmin leżących na pograniczu województw lubuskiego i wielkopolskiego: Babimost, Kargowa, Siedlec, Trzciel, Zbąszynek i Zbąszyń. Region ten historycznie i literacko jest doskonale znany Kurzawie, który wychowywał się w nim, pisał na jego temat wiele artykułów i poświęcił tej części regionu kilka publikacji książkowych. Także zainteresowanie legendami i podaniami, zwłaszcza Ziemi Zbąszyńskiej, przejawiał Kurzawa od dawna, ogłaszając je na łamach lokalnych periodyków, m.in. „Kalendarza Zielonogórskiego” w 1980 i „Szkieł Zbąszyńskich” w 1989 r. Przytaczał wówczas wiele legend i przekazów ludowych pochodzących od mieszkańców Zbąszynia, Strzyżewa, Dąbrówki, Perzyn, Chrośnicy czy Grójca Wielkiego, a zebranych i spisanych przez miejscowych nauczycieli, Jana Tomińskiego i Zdzisława Linkowskiego.

W najnowszym, pokaznym zbiorze autor opracowania przytoczył ponad setkę opowieści ludowych z tego regionu, znacznie poszerzając je o teksty nieznanne wcześniej, zwłaszcza spisane w języku niemieckim, a zebrane przez niemieckiego profesora etnografii Otto Knoopa, które na potrzeby niniejszej publikacji zostały przetłumaczone na język polski. Co ciekawe, wiele z podań obecnego Regionu Kozła, które zanotował Knoop, dotyczyły rodzimych wierzeń mieszkających w zaborze pruskim Polaków, stąd profesor zachował oryginalny, polski zapis słowiańskich wierzeń i nazw, np. „podkoziółka”. Ponadto autor *Białej damy* przypomniał wiele utworów baśniowych i legendowych przytaczanych wcześniej przez Marię Zientarę-Malewską (Ziemia Babimojska), Mariana Andrzejaka (Ziemia Zbąska) oraz Czesława Kędzierskiego, Izabellę Koniusz, Helenę Rutkowską, Kazimierza Malickiego, Wojciecha Łysiaka, Zbigniewa Kozłowskiego, Wiolettę Malinowską, Marcelę Tureczka oraz zebrane przez siebie. Całość zbioru uzupełnił o nowe opowieści, m.in. Zofii Mąkosi i Aleksandra Waberskiego.

Eugeniusz Kurzawa podzielił w klasyczny niemal sposób swoje opracowanie, grupując zamieszczono-

ne teksty tematycznie, stąd są rozdziały poświęcone białym damom, kasztelanom i smokom, niezwykłym wydarzeniom, dziwnym zwierzętom i niesamowitym jeźdźcom, dziwnym i tajemniczym miejscom, diabłom i czarownicom oraz widmom, zjawom i zmorom. Duża część ludowych opowieści dotyczy Kargowej, Zbąszynia, Babimostu, Nowego Kramska, Dąbrówki, Perzyn, Strzyżewa, Nowej Wsi Zbąskiej, Kopanicy, Bielecina, Grójca, Podmokli, Chłastawy, Grójca, wsi Czeskie czy okolic Trzciela i Międzyrzecza. Opowiadają one o złym kasztelanie zbąszyńskim czy kasztelanie z Łysej Góry, o białej pani ukazującej się na zamku w Zbąszyniu, o początkach powstania Babimostu, Dąbrówki czy Zbąszynia, o jeźdźcach bezgłowych, nocnych łowcach i zjawach oraz dzikich myśliwych widywanych w okolicach Grójca, Paromierza, Łomnicy i Kopanicy. Tajemnicze miejsca Regionu Kozła przywołane przez Kurzawę to święte jezioro koło Chwalimia, Jezioro Błędno, Wzgórze Krukowe, Dębia Góra, Uroczysko pod Dąbrówką, Jezioro Chobienieckie, Babia Struga czy kamień pokutny koło Jaromierska. Nie zabrakło też fantastycznych stworzeń w Regionie Kozła, szczególnie diabłów, czarownic, wiedźm, różnorodnych widziadeł, straszdeł, zjaw i zmór w postaci wisielców, topielców i pokutujących duchów zmarłych osób.

Cenną, blisko dwustustronicową publikację Eugeniusza Kurzawy uzupełniają: wstęp, czyli praktyczny przewodnik po legendach i podaniach, oraz obszernie i szczegółowe posłowie na temat podań i legend z Regionu Kozła wraz z bibliografią. Książkę zdobią unikatowe fotografie z kolekcji szklanych negatywów Fundacji TRES i mapy Polskiej Akademii Nauk Biblioteki Kórnickiej. Wydawcą pozycji jest Stowarzyszenie Gmin RP Regionu Kozła, któremu chwała, że wspiera wartościowe publikacje nie tylko promujące region, ale dbające także o jego rodzimą tradycję i dziedzictwo kulturowe, do czego należą przekazy ustne jego mieszkańców. Książka *Biała dama z pękiem kluczy* to doskonała skarbnica wiedzy o folklorze, tożsamości i historii regionu, tak istotna i potrzebna dziś dla młodych pokoleń Regionu Kozła i Ziemi Lubuskiej.

Robert Rudiak

Eugeniusz Kurzawa, *Biała dama z pękiem kluczy. 111 podań i legend Regionu Kozła*, Wyd. Stowarzyszenie Gmin RP Regionu Kozła, Kargowa 2019.

Znajomy

Zawsze lubiłem tego mężczyznę. Prowadziłem niewielki kiosk z gazetami przy placu Powstańców Wielkopolskich, a on kupował u mnie papierosy. Te same, za każdym razem.

Wysoki, barczysty z kwadratową głową i sztucznym uśmiechem, przyklejonym do twarzy. Ubrany ciągle tak samo – w ciemne dżinsy i czarną, skórzaną kurtkę. Na palcu prawej dłoni błyszczał mu złoty sygnet.

– To, co zwykle – mówił niskim tonem, schylając się do okienka.

Widywałem go codziennie, dokładnie o siódmej dziesiątej. Pojawiał się nagle znikąd, kupował papierosy i znikał wraz z tłumem wychodzących z autobusu pasażerów ósemki.

Przyzwyczailem się do niego i polubiłem, choć nie wiem dokładnie za co i dlaczego. Nurtowało mnie pytanie, kim jest i gdzie pracuje. Często zastanawiałem się nad tym, siedząc znudzony w popołudniowej, marowej dla handlu porze.

Jakieś pół roku później, w poniedziałek po zamknięciu kiosku poszedłem do pobliskiej biblioteki, gdzie było bistro. Miałem ochotę coś zjeść, a wiedziałem, że podają tam niezłe ruskie pierogi. Wdrapałem się schodami na półpiętro i skierowałem do baru, gdzie złożyłem zamówienie. Później rozejrzałem się po stolikach w poszukiwaniu miejsca.

W samym rogu pomieszczenia siedział mój znajomy klient, jedząc schabowego i wpatrując się w telefon, który leżał przed nim na stoliku. Nie zauważył mnie, a ja wcale nie miałem zamiaru mu przeszkadzać. Wybrałem miejsce dość odległe, z widokiem na wchodzących, tyłem do niego.

Wyciągnąłem dzisiejszą „Gazetę Lubuską” i oczekując na posiłek, zatopiłem się w lekturze. Przejrzałem najnowsze wiadomości, a później kolumnę z drobnymi ogłoszeniami. Te były najlepsze. Takie życiowe i ludzkie. Kupię używaną pralkę, oddam segment, zaopiekuję się dziećmi, poszukuję pracy. Za tymi lakonicznymi zdaniami kryło się prawdziwe życie, pełne wyrzeczeń, cierpienia i współczucia. Nie wiem dlaczego, ale czytałem je codziennie, wyobrażając sobie każdą z osób, która je zamieściła. Może to dziwne, ale sprawiało mi to przyjemność.

Szefowa kuchni zawołała, że pierogi są już gotowe. Przyniosłem je do stolika i zacząłem liczyć. Porcja podstawowa wyniosła siedem sztuk, a ja zamówiłem podwójną. Oblizałem usta ze smakiem i zacząłem jeść.

Po chwili poczułem niespodziewanie, jak ktoś delikatnie dotyka mego ramienia. Nie przestraszyłem się, ale odwróciłem zdziwiony. Przede mną stał mój klient. Wydał mi się jeszcze wyższy i barczysty niż zazwyczaj.

– Mogę zająć panu chwilkę? – zagadnął, uśmiechając się sztucznie.

Zaprosił go gestem ręki, a on usadowił się naprzeciw. Bardzo ciekawiło mnie, czego ode mnie chce.

Pochylił się, odsłaniając muskularną klatkę piersiową, a później wyciągnął ręce na stolik. Sygnet mienił się, tak jak zawsze. Wyglądało na to, że pomimo wszystkiego się krępuje. To mnie odrobinę rozbawiło.

– Mam dla pana pewną propozycję – zaczął powoli, nie patrząc mi w oczy. – Potrzebuję krótkoterminowej pożyczki na szybki interes. Całość wraz z procentami jestem w stanie oddać w ciągu miesiąca. Wiem, że to dziwne, bo pana w sumie nie znam, ale gdy pana zobaczyłem, pomyślałem, że może spróbuję...

Otworzyłem szeroko usta ze zdziwienia. Mężczyzna zaskoczył mnie swoją propozycją i podejściem. Stwierdziłem, że ma niezły tupet, ale nie skreśliłem go od razu.

– Rozumiem, czego pan chce, ale czy ma pan jakieś zabezpieczenie tego kredytu? – odparłem śmiało.

Znajomy, którego imienia nie znałem, pokręcił przecząco głową. Później zaczął drapać się palcami po włosach, jakby się zastanawiał. W końcu jego wzrok powędrował na prawą dłoń i usadowiony tam sygnet. Zdjął go z palca i położył na stoliku.

– W zamian za tysiąc złotych zastawię u pana ten sygnet. Mogę dać go panu już teraz, a po pieniądze przyjdę jutro rano. Co pan na to? – zapytał z nadzieją w głosie.

Długo milczałem i zastanawiałem się, co zrobić. Miałem akurat trochę wolnej gotówki, ale czy mogłem aż tak ryzykować? Facet był mi przecież zupełnie nieznajomy. Nie wiedziałem, kim jest, czym się zajmuje i gdzie mieszka. Czy nie będą to pieniądze wyrzucone w błoto? – zastanawiałem się, wpatrując w jego krzaczaste brwi i błagalne spojrzenie.

– Dobrze, niech tak będzie – stwierdziłem w końcu niezbyt przekonująco.

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech, który tak dobrze znałem. Podniósł się z krzesła i uściśnął mi mocno dłoń.

– Dziękuję, uratował mnie pan – oznajmił z radością.

Później zdjął sygnet z palca, położył go na stole, odwrócił się i wyszedł.

Siedziałem jeszcze długi czas i wpatrywałem się w talerz z pierogami. Ta dziwna sytuacja zupełnie wybiła mnie z mej spokojnej egzystencji. Nie do końca zdawałem sobie sprawę, co przed chwilą naprawdę zaszło. Pożyczam tysiąc złotych nieznajomemu mężczyźnie, biorąc od niego w zastaw złoty sygnet. Tylko czy naprawdę jest złoty i wart tyle pieniędzy? I czy właśnie nie pakuję się w kłopoty? – od przemyśleń zaczęła boleć mnie głowa i odechciało mi się jeść. Postanowiłem wrócić do domu, wziąć tabletki przeciwbólowe i położyć się spać.

Kolejnego dnia obudziłem się jak zwykle przed piątą. Czułem się dobrze, choć na dworze było chmurnie i padał rzęsy deszcz. W swoim kiosku pojawiłem się tuż przed otwarciem, nie zapominając o obiecanej gotówce, którą włożyłem do białej koperty i nosiłem w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Obsługiwałem klientów, ale tak naprawdę czekałem na siódmą dziesiątą i pojawienie się nieznajomego mężczyzny. Byłem podminowany tą sytuacją, która była dla mnie czymś nowym. Nie wiedziałem, czego mogę się po nim spodziewać.

Jak zwykle pojawił się nieoczekiwanie, ale o stałej godzinie. Tym razem miał na głowie kaszkiet, który chronił go przed deszczem.

– To, co zwykle – wymówił szybko, a później skłonił się uprzejmie.

Wyciągnąłem paczkę papierosów, a po chwili sięgnąłem po kopertę i położyłem ją obok.

– To dla pana. Tak jak uzgodniliśmy – odparłem niskim tonem.

Czułem się jak bohater filmowych kryminałów. To wszystko było takie nierealne i tajemnicze. Musiałem przyznać, że mi się naprawdę podobało.

Wziął papierosy i kopertę. Nic nie odpowiedział, ale znów lekko się uklonił i odszedł w tłumie pasażerów podjeżdżającego na przystanek autobusu.

W taki właśnie sposób pożyczyłem pieniądze nieznajomemu mężczyźnie, który kupował u mnie papierosy. Czy liczyłem na to, że wywiąże się z naszej umowy? Tak naprawdę, to nie miałem pojęcia.

Przez kolejny miesiąc było tak jak zawsze. Mężczyzna przychodził codziennie i kupował papierosy, a później znikał. Nie pytałem o nic, tylko spokojnie czekałem.

Gdy nadszedł dzień spłaty długu, czułem lekkie napięcie. Czy odda mi te pieniądze i się rozliczy? Czy postąpiłem rozsądnie? – pytałem sam siebie, wyczekując kolejnej wizyty dłużnika.

Nie pojawił się. Nie było go o siódmej dziesiątej ani później. Przestał przychodzić. Poczułem złość na siebie. Okazało się, że znów okazałem się łatwowierny i naiwny. Pozostał mi tylko stary sygnet, który po kilku dniach zacząłem nosić na małym palcu prawej dłoni.

Mój interes szedł coraz gorzej. Hurtownia znów podwyższyła ceny na wszystkie artykuły. Ludzie mniej kupowali. Byłem załamany i smutny. Ratowałem się kredytami i pozostałymi na koncie oszczędnościami. Nie miałem innego pomysłu na życie, a w ten kiosk zainwestowałem sporo pieniędzy.

Przesiadywałem więc godzinami w milczeniu, samotnie, wyczekując na klientów i odwrócenie losu, które nie następowało. Długi rosły, a ja czułem się pokonany.

Kilka miesięcy później w kraju ogłoszono stan epidemii, w związku z koronawirusem. Ludzie w Zielonej Górze przestali jeździć autobusami, co spowodowało, że moje dochody ze sprzedaży w kiosku spadły do zera. Musiałem ogłosić bankructwo.

Snułem się opustoszałymi ulicami miasta. Pokonany i załamany czasami, w jakich przyszło mi żyć. Zastanawiałem się, skąd wezmę pieniądze na spłacenie kredytów, czynszu za mieszkanie i za co kupię jedzenie.

Zacząłem sprzedawać stare książki, które zalegały u mnie w piwnicy. Miałem ich mnóstwo, ale zarobek był z tego marny. Zarabiałem po kilkanaście złotych dziennie, co ledwo starczało na papierosy. Czułem, że mój upadek jest coraz bliżej.

Któregoś pochmurnego dnia wybrałem się do znajomego, mieszkającego przy Starym Rynku. Mijając wystawę zakładu złotniczego, zatrzymałem się na chwilę. Pomyślałem o sygnecie, który przez cały czas nosiłem na palcu. Wszedłem do środka i pokazałem go sędziwemu mężczyźnie, który zaczął oglądać go z zainteresowaniem.

– Ile jest wart? – zapytałem z wahaniem w głosie.

Złotnik pokręcił głową z zastanowieniem i mi nie odpowiedział. Zaczął przyglądać się sygnetowi przez zamontowaną na głowie lupę.

– To nie jest towar na złom. Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę? – odpowiedział.

Nie wiedziałem, co ma na myśli. Miałem nadzieję, że sygnet okaże się ze złota i odsprzedam go po dobrej cenie.

– Co pan ma na myśli? – wydukałem z wahaniem, spodziewając się, że mężczyzna odmówi mi sprzedaży.

Złotnik wciąż oglądał pierścień i był coraz bardziej zaintrygowany. Czułem, że coś jest nie tak.

– Mam pewne podejrzenia w związku z pana towarem. Chciałbym, aby pozostawił mi go pan do jutra. Wtedy go wycenię i być może odkupię. Zgadza się pan na to?

Czy miałem inne wyjście? Pozostawiłem go tam, mając nadzieję na to, iż jutro odsprzedam go za kilkadziesiąt złotych.

Od znajomego pożyczyłem pieniądze na czynsz i wypięłem kawę. Już nie pierwszy raz ratował mi skórę, za co byłem mu wdzięczny. Nadszedł dla mnie naprawdę ciężki czas.

Kolejnego dnia z mojej skrzynki pocztowej wysypały się kolejne wezwania do zapłaty zaciągniętych kredytów. Byłem załamany i prawie do południa leżałem w łóżku. Po południu przypomniła mi się sprawa sygnetu.

U złotnika pojawiłem się tuż przed zamknięciem. Przywitał się ze mną miło, a gdy wszedłem, zamknął za mną drzwi i wywiesił zawieszkę „zamknięte”.

– Dobrze, że pan przyszedł – zaczął tajemniczo.

Stanąłem przed przeszkloną ladą, na której leżał mój sygnet. Ciekawe, na ile wycenił go ten starzec? – pomyślałem.

Mężczyzna wziął go do rąk i podniósł na wysokość swoich oczu.

– Pewnie pan nie wie, ale to nie jest zwykły sygnet. Konsultowałem się z kilkoma kolekcjonerami w Polsce i na świecie. Został wykonany w Japonii, jakieś sto lat

temu. Na świecie jest tylko około pięćdziesięciu takich egzemplarzy...

Moje usta otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Myślałem, że śnię, ale to działa się naprawdę. Sygnet z Japonii? To niemożliwe – myślałem – dostałem go w zastaw za tysiąc złotych, od nieznajomego mężczyzny, który kupował u mnie papierosy.

– Ile jest wart? – pytałem bo tak naprawdę, tylko to mnie interesowało.

Z twarzy złotnika zniknął uśmiech. Przystępowaliśmy w końcu do interesów.

– Na aukcji jakieś sześćdziesiąt tysięcy, ale musiałby

pan dość długo czekać i uzyskać certyfikat. Na dzień dzisiejszy mogę zaproponować panu pięćdziesiąt. Gótownką i jeszcze dzisiaj.

Czułem, jak ogarnia mnie euforia, której nie chciałem okazać. Przez dłuższą chwilę nie mogłem wymówić żadnych słów. Zamarłem z wrażenia.

– Dobrze, zgadzam się na pana warunki – wydusiłem z siebie w końcu.

Tak właśnie sygnet nieznajomego mężczyzny, który kupował u mnie papierosy, wyratował mnie z długów i pozwolił patrzeć na świat w różnych odcieniach szarości.

Marcin Radwański

POCZTA LITERACKA

W tym numerze inaugurujemy rubrykę „Poczty Literackiej”, w której komentować będę nadesłane wiersze lub prozę. Prosimy o nadsyłanie 3-5 wierszy lub do 2 stron prozy. Będę je omawiać, doradzając, odradzając i starając się raczej zachęcać niż zniechęcać. W komentarzach używać będę jedynie imienia nadawcy lub pseudonimu, jeżeli ktoś woli się tak podpisać. Zapraszam do przesyłania tekstów do skomentowania na adres pocztowy Redaktora Naczelnego.

Zaskoczyć samą siebie

Droga Pani Sylwio, dziękuję, że zgodziła się Pani, aby wiersze nadesłane do tego numeru zostały omówione w tej rubryce i w ten sposób uruchomiła Pani pocztę literacką. To wymagało odwagi! Widać ją zresztą w Pani wierszach, bo pisze Pani szczerze o emocjach i bezradności twórcy. Podobają mi się krótkie, zwarte, nieprzegadane formy, gdzie „ktoś czeka”. Warto popracować nad bardziej niecodziennymi epitetami, bo „słoneczny zachwyt” i „tzy” nie zaskakują – tzy i zachwyt

to słowa dosyć już utarte i wyeksploatowane. Cieszy natomiast „cudowność serdecznego palca” i chciałoby się więcej takich cudowności cielesnych, można by ten obraz śmiało rozwinąć. Najlepiej unikać zbyt ogólnych zwrotów typu „żyć, jak dotąd nikt”. To znaczy jak? Tu też warto zaskoczyć. Widzę, że lubi Pani emocjonalny przekaz pierwszoosobowy, a może trzeba poeksperymentować? Wcielić się w inną osobę, wyjść poza określone ramy. Jackie Kay, szkocka poetka, wygrała swój pierwszy konkurs poetycki utworami, w których podmiotem lirycznym był gej-górnik. Można wyobrazić sobie zdziwienie jury, gdy na scenę weszła kobieta z krwi i kości... Zaskoczyła wszystkich. Oczywiście nie trzeba utożsamiać się z inną osobą, szukać nietypowych wcieleń. Można też napisać wiersz w imieniu przedmiotu albo zwierzęcia. Zaskoczyć samą siebie. Cudowności żyć.

*Pozdrawiam
abrakadabra*

Nagroda im. A.K. Waśkiewicza 2019

W piątek, 29 listopada br., w Muzeum Ziemi Lubuskiej odbyła się 10. gala wręczenia Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza.

W środę, 6 listopada, obradowała Kapituła Nagrody ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza: Jerzy Benjamin Zimny (przewodniczący), Alfred Siatecki (sekretarz), Robert Rudiak, Katarzyna Jarosz-Rabiej, Władysław Klępka, Jolanta Pytel. Spośród kilkunastu zgłoszonych do tego wyróżnienia nominowano trzy osoby: Agnieszkę Ginko, Janusza Łastowieckiego i Małgorzatę Mikołajczak. Decyzją jurorów w tajnym głosowaniu najwięcej pozytywnych głosów otrzymała prof. Małgorzata Mikołajczak z Uniwersytetu Zielonogórskiego.



Oszustka

Onkologia czwarte piętro. Trafialiśmy tam, kiedy na trzech niższych brakowało miejsca. Kiedy oddziały damskie i męskie nie mogły już pomieścić kolejnych ofiar nikotyny, zaniedbań czy obciążeń genetycznych. Trafialiśmy tam koedukacyjnie, solidarnie, do tych samych sal i na te same korytarze, panie na prawo i panowie też na prawo, bo innego wyjścia nie było, musieli nas jakoś poupychać. Nie sądzę, żeby komuś robiło to różnicę, bo przecież my wszyscy zatraciliśmy płeć. Po operacjach, chemii, radioterapiach atrybuty płci zostały wyparte przez atrybuty nowotworów. Zamiast krągłych kobiet i muskularnych mężczyzn po korytarzach snują się tylko łyse kościotrupy. Kobiety bez piersi omijają wzrokiem mężczyzn bez jąder, a ciche pielęgniarki, na wszelki wypadek, zwracają się do nas bezosobowo.

Tamtym razem już trzeci raz z rzędu trafiłam do jednej sali z Tomaszem. Czysty przypadek, lokowali mnie tam, gdzie akurat było wolne łóżko. Ja przychodziłam i odchodziłam, wpadałam na dwa-trzy dni, z wizytą, dobrze rokowałam, przywoziłam ze sobą dwie pary skarpetek i jedną książkę, on już się tam zadomowił. Przy jego łóżku stały zdjęcia rodzinne, kartki z życzeniami, bukiet podeschniętych kwiatów. Za każdym razem wydawał mi się chudszy i bledszy, tak samo jak jego dziewczyna, która wpadała regularnie i regularnie przynosiła mu domowe zupki buraczane.

Nie rozmawiałam z nim za wiele, bo nie było o czym. Na czwartym piętrze onkologii trudno rozmawiać o życiu, a śmierć jest tam tematem tabu. Nie wiem, czy boimy się śmierci, czy czekamy na nią jak na wybawienie, ale o niej się zwyczajnie nie rozmawia.

Za to powszechnie wiadomo, że wszyscy, ale to wszyscy panicznie boimy się sali numer dziewięć. Cicha, ładna, komfortowo urządzona dziewiątka jest bowiem naszym ostatnim przystankiem na drodze między byciem a niebyciem. Umieralnią.

Każdy z nas – łysych kościotrupów, niemających już siły na noszenie peruk – w jakiś sposób oswaja się z prawdopodobieństwem śmierci, ale cicha, ładna, komfortowo urządzona dziewiątka jest dla nas zbyt straszna do oswojenia, bo jest prawdziwa i w zasięgu ręki, jest fizycznym odzwierciedleniem umierania. Bo tam się trafia już tylko na umarcie. Wiedzą o tym białe ściany bez ozdób, biały sufit bez zacieków, monotonnie pikające urządzenia w tle i grobowo poważny personel. Dziewiątka budzi respekt, przerażenie, w niektórych nawet panikę. Przechodząc korytarzem, omijamy ją szeroko, nie patrzymy w jej stronę, nie słuchamy jęków dobiegających z wewnątrz. Tam się chodzi na paluszkach. Staramy się nie zauważać pielęgniarek uwijających się przy nieszczęśnikach, za którymi zamknęły się drzwi makabrycznej dziewiątki. Wchodzi się tam, żeby już nigdy nie wyjść. Wwożą

nas tam żywych i wywożą nakrytych białym prześcierałem, a odwiedzający płaczą uczeni klamki jak ostatniej blaszki ratunku.

Tomasz bał się dziewiątki bardziej niż inni. Kurczył się pod przepoconą pościelą, kiedy po oddziale rozchodziła się wiadomość, że ktoś tam trafił. Taką wiadomość roznoszono pocztą pantoflową w zdeptanych papuciach wsuniętych na blade stopy.

– Panią Stasię rzucili na dziewiątkę.

– Stasię na dziewiątkę.

– Na dziewiątkę.

– Na stracenie.

– Na rzeź.

Była jeszcze przytomna, łóżko pchał ten przystojny salowy podobny do Sylvestra Stallone'a, wózek od kroplówki zahaczył się w drzwiach i nie chciał się odcepić.

Może pani Stasia sama zarzuciła ten wózek od kroplówki, tak jak się zarzuca wędkę z haczykiem, w końcu jej mąż jest wędkarzem. Może ten wózek miał jeszcze na chwilę zahaczyć ją o życie, może miała jeszcze coś do załatwienia.

– Panią Stasię rzucili na dziewiątkę.

A Tomasz skurczył się w sobie i zakrył uszy poduszką.

Tamtego dnia dziewczyna Tomasza przyszła rozedrgana i nieswoja. Próbowła zachowywać się normalnie, ale widziałam, jak podryguje jej kucyk związany gumką i jak drżące dłonie chowają się w rękawach swetra.

– Zamówiłam sukienkę na wesele Kasi, chcesz zobaczyć? – szczebiotała wesoło, ale Tomasz ledwie ją kojarzył. Podłączony do kroplówki, tlenu i własnej bezsilności więcej przebywał w swojej głowie niż w naszym towarzystwie.

– Czerwoną, z czarnymi dodatkami – gładziła go po kościstych dłoniach – czarne buty. Może kupię sobie jeszcze kapelusz. A doktor Łencki powiedział, że chyba cię przeniosą do innej sali, ładniejszej.

Nie udało jej się przemycić wiadomości o przeniesieniu między sukienką a kapeluszem. Tomasz ocknął się i nerwowo szarpnął stojakiem kroplówki.

– Do dziewiątki nie – zaprotestował. Wiedział, co to oznacza. Ona też wiedziała. Wiedział także lekarz, który jej powiedział o przeniesieniu. Dziewiątka stała się wygodną formą komunikowania rodzinie, że pacjent nie pociągnie dłużej niż trzy dni. Niebezpośrednią.

Może w Tomaszu nie było już za wiele życia, ale nie chciał iść do umieralni. Nikt nie chciał iść do umieralni. Woleliśmy umierać bez zapowiedzi.

– Do dziewiątki nie – uspokoiła go – doktor mówił, że do szóstki. Szóstka ma ładny widok.

Spojrzała na mnie, szukając wzrokiem wsparcia w swoim kłamstwie. Nie pomogłam.

– Mogliśmy wziąć ślub na wiosnę. – Tomasz otworzył szeroko oczy i jakby na chwilę odzyskał zdolność jasnego myślenia, poszukał jej dłoni na kołdrze, pogładził je, nie dał rady unieść do ust. – Kupiłem ci pier-

ścione z szafirem. Mogłem ci go dać wcześniej. Jest w mojej szufladzie, pod skarpetami. W zielonym pudełku. Mam nadzieję, że będzie pasował.

– Pasuje – przerwała mu – znalazłam go. Pasuje. Dasz mi go, jak wrócisz do domu.

– Możesz go już nosić, do dziewiątki. Do dziewiątki nie – jego myśli łagodnie odbiły od brzegu – nie do dziewiątki, nie do dziewiątki, nie...

Patrzyłam za nią, jak wybiega na nogach sztywnych jak szczudła, z piąstkami zaciśniętymi w rękawach swetra. Minęła się w drzwiach z najsilniejszym z salowych, tym który zwykle przeprowadzał łóżka z sali do sali, z naszym oddziałowym Charonem.

Wysłałam na korytarz, bo nie chciałam patrzeć, jak przygotowują Tomasza do tej ostatniej drogi. Jego dziewczyna stała pod dziewiątką i paznokciami próbowała odkręcić blaszany numerok od drzwi. Dwa paznokcie już zdążyła złamać, brzydko odstawały od palców i zostawiały na numerku krwawy ślad.

– Zostaw. – Spróbowałam ją powstrzymać, odciągając od drzwi, ale była tak zdeterminowana, że nie dałam rady. Spróbowała palcami lewej ręki i złamała kolejny paznokieć.

– Daj. – Odepchnęłam ją i wbiłam w rowek małej śrubki swój elegancko zaostrzony tips. Nie wiem, z czego robi się sztuczne paznokcie, ale moje nieźle się sprawdziły w roli śrubokrętu. Odkręciłyśmy dolną część dziewiątki i ustawiliśmy ją odwrotnie. Lepka krew z jej krwawiących opuszków na krótką chwilę zatrzymała cyfrę w tej pozycji.

– Do szóstki – szlochała przeraźliwie dziewczyna i osuwała się na kolana, jakby błagając metalową cyfrę o ulaskawienie. – Powiemy, że przenoszą go do szóstki.

– Tak powiemy. – Dźwignęłam ją do góry, bo już wieźli Tomasza. Wieźli go w asyście kroplówki, aparatu tlenowego, dwóch pielęgniarek i salowego, ze sztandarem prześcieradła łopoczącym w stęchłym powietrzu. Pacjenci powychodzili ze swoich łóżek i przyglądali się w milczeniu ponurej procesji. Tomaszowi było już wszystko jedno.

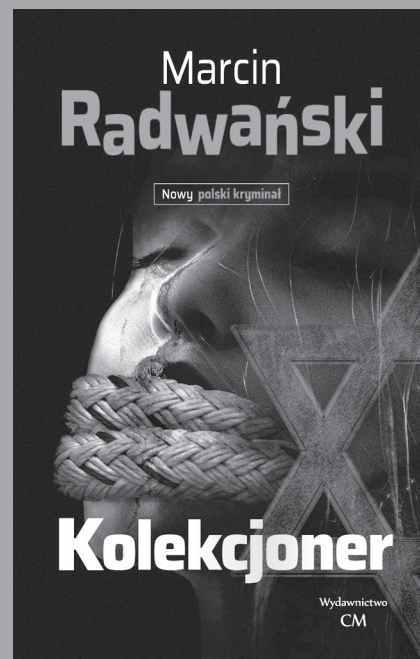
– Widzisz, do szóstki – pocieszała się jego dziewczyna, wchodząc za nim do cichej, ładnej, komfortowo urządzonej sali.

Tuż za nią szóstka oszustka osunęła się bezszelestnie na swoje miejsce.

Anna Konstanty

Tradycyjnie w ostatni piątek listopada (27.11.) odbędzie się organizowana przez zielonogórski Oddział ZLP 11. gala wręczenia Nagrody Literackiej im. A. K. Waśkiewicza w Muzeum Ziemi Lubuskiej. W tym roku gala znowu będzie połączona z wręczeniem Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka” i nagrody dla zwycięzcy konkursu na utwór o Zielonej Górze, które organizuje i przyznaje Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica” od 2015 r. Zarząd Oddziału ZLP przyzna też Laur Honorowy im. J. Koniusza za działalność na rzecz popularyzacji literatury w regionie lubuskim. Obok wręczenia nagród organizatorzy przygotowują wydania kolejnych numerów pism „Pasji Literackich” i „Na Winnicy”, kiermasz książek oraz planowana jest premiera projekcji filmu o kolejnym lubuskim literacie – Mieczysławie J. Warszawskim (1950-2015).

Z OSTATNIEJ CHWILI



5 czerwca 2020 r. na rynku wydawniczym ukazała się najnowsza powieść Marcina Radwańskiego pt. *Kolekcjoner*. W kolejnym numerze „Pasji Literackich” zamieścimy jej recenzję.

Krótki opis:

W wigilię Bożego Narodzenia zostają odnalezione zwłoki emerytowanej pani profesor. Wszystko wskazuje na uduszenie, ale jak się okazuje, ciało zostaje pozbawione też języka. Do śledztwa zostaje przydzielony wydział kryminalny, na czele z komisarzem Piotrem Tonderem.

Kilka dni później kryminalni odnajdują kolejną ofiarę z odciętym językiem. Śledczy odkrywają, iż obie ofiary były pochodzenia żydowskiego. Sprawa nabiera powagi i rozgłosu.

Kto będzie kolejnym celem? Czy policjantom uda się ująć kolekcjonera i kto nim jest? Czyżby po Zielonej Górze grasował morderca – antysemita? Czy poradzą sobie ze skomplikowaną sprawą, z nim morderca zbierze swoje żniwo?

Kolekcjoner to kontynuacja śledztw komisarza Tondera, znanych z książek pt. *Nie odrzucaj mnie* i *Danie główne*.

Wywiad z Markiem Lobo Wojciechowskim – laureatem Lubuskiego Wawrzynu 2019 w kategorii poezja, za książkę *Dzień kreta*

W tym roku mam zaszczyt rozmawiać z laureatami Lubuskich Wawrzynów, którzy zdobyli nagrodę główną po raz drugi. Jak Pan się czuł, odbierając statuetkę w roku 2010 za tomik *Ektoplazma* i dokładnie dziesięć lat później, czyli w 2020 roku za *Dzień kreta*. Podobne emocje? A może oczekiwał Pan zwycięstwa i werdykt jury nie był zaskoczeniem?

Podczas odbierania nagrody po raz pierwszy (za *Ektoplazmę*) emocje były chyba większe. Większe także było zaskoczenie faktem, że kapituła konkursu tak znacząco doceniła zbiór wierszy napisany przez autora mało jeszcze znanego w tzw. środowisku. *Dzień kreta* – cóż, tutaj obawiałem się jedynie, czy jury właściwie odbierze prowadzoną przeze mnie narrację, bo co do wartości tekstów i całego tomiku byłem przekonany. Nie jest to ani kokieteria, ani zbytnia pyszałkowatość; uwagi i opinie obu redaktorów (Robert Honet i Piotr Grobliński) były zgodne.

Jest Pan laureatem wielu innych nagród i wyróżnień w międzynarodowych i ogólnopolskich konkursach. Czy wśród nich jest takie, które ceni Pan sobie szczególnie. Najważniejsze, wyjątkowe, najbardziej prestiżowe, dające nowe możliwości?

Nie mam jakiegś specjalnie hołubionej nagrody. Myślę, że wyróżnienie debiutanckiego tomiku *Suplement* (2006) w ramach „Złotego Środka Poezji” w Kutnie było dla mnie ważne/najważniejsze o tyle, że ogólnokrajowe środowisko dostrzegło nową postać w przestrzeni poetyckiej, mimo ewidentnego parcia na ówczesne „modne nazwiska”. Pozostałe nagrody przychodziły raczej mimochodem. Oczywiście był okres (niezbyt długi), gdy wysyłałem swoje teksty na różne konkursy, ale nigdy nie ustawiałem się w pozycji „konkursowicza”. Były to raczej sporadyczne działania z mojej strony. Nie uważam zresztą, że można rzetelnie ocenić autora poprzez pojedynczy tekst czy kilka tekstów. Do takiej oceny nadaje się właśnie zwarta wypowiedź – tomik. Pomijam zupełnie pozapoetyckie układy i układy środowiskowe, które (po obserwacji zjawiska) dodatkowo zniechęcały mnie do częstszych wysyłek kolejnych wierszy. Wiedząc dobrze, że nie mam w sobie potrzeby i ochoty na jeżdżenie z konkursu na konkurs, że nie udzielam się w ogólnopolskim środowisku poetyckim – dość szybko zdałem sobie sprawę, że nagrody w poszczególnych konkursach są często wyrazem osobistych sympatii oraz poparcia dla znanych środowisk twórczych czy wybranych twórców. Szeroki temat, nie na ten wywiad.

Jest Pan absolwentem szkoły wojskowej. Zawodowa służba wojskowa niekoniecznie kojarzy się z liryką. Kiedy napisał Pan swój pierwszy wiersz? Czy zadziało się coś w Pana życiu, jakiś epizod, który zadecydował o tym, że zaczął Pan pisać wiersze i utwierdził się w przekonaniu, że warto?

Cóż, szkoła wojskowa to trochę taki, parafrazując, „wypadek przy życiu”. Tak się jakoś złożyło z tym wojskiem, przez „zawalenie” przeze mnie technikum budowlanego – i to w pierwszym roku! Rodzice nie bardzo wiedzieli, co zrobić z niesfornym jedynakiem i wpadli na genialny i iście diabelski pomysł... A potem trzeba było dotrwać do emerytury, czyli minimum 15 lat zawodowej służby... Jednak, mimo ewidentnej pomyłki w wyborze drogi życiowej, nie wspominam wojska źle. Nauczyłem się tam, powiedzmy, dorosłości, odpowiedzialności i pewnej dozy dyscypliny wewnętrznej. Z kolei studia wojskowe bardzo poszerzyły moje horyzonty, więc nie ma czego żałować.

Pierwszy wiersz... Miałem jakieś 13-14 lat, gdy napisałem kilkanaście wierszy. Patrząc z perspektywy, zupełnie do niczego. Ale to norma; nikt, absolutnie nikt nie pisze od razu, z marszu dobrze. Do tego potrzeba, prócz oczywistej wrażliwości i nieco anormalnego oglądu świata/rzeczywistości, solidnego warsztatu. Pamiętać jednak należy, abyśmy to my nad tym warszatem panowali, a nie byli li tylko jego niewolnikami. Wszelkie odstępstwa od ogólnie przyjętych norm są dozwolone i wskazane – o ile są świadome, czyli: wytłumaczalne (do dzisiaj gotów jestem uzasadniać użycie przecinka w wierszu z, powiedzmy, 2005 roku). Na poważnie zabrałem się za pisanie około 2004 roku, kiedy odkryłem Nieszufladę – literacko/warsztatowy portal internetowy, który w tamtych czasach skupiał znanych poetów (Edek Pasewicz, Maciek Woźniak, Ola Zbierska, Wiola Grzegorzewska, Jakub Winiarski, Jacek Mączka, Zyta Bętkowska, Rafał Kaźmierski i inni) i był najlepszym oraz najtrudniejszym poligonem. Trafiłem tam ze swoimi młodzieńczymi tekstami i dostałem na początku takie baty, że będę pamiętał je do śmierci.

Kto Pana ukształtował lub inspirował jako twórcę?

Hmm... Mógłbym zamknąć pytanie jednym słowem – nikt, ale to oczywista nieprawda. Podstaw pisania i czytania wierszy uczyłem się, jak już wspomniałem, na Nieszufladzie, metodą bata... bez marchewki (uwaga: teraz nie ma tam po co zaglądać, choć portal jeszcze chyba istnieje...). Niemniej, przez samą obecność, zacząłem

czytać „celowo”. Pomijam codzienne, uporczywe śledzenie wszelkich tekstów ówczesnych uczestników portalu; w sumie jakieś 150 wierszy dziennie – dla wprawy, rozeznania i oglądy; konkretnych autorów i, oczywiście, rozległą tzw. teorię. To był czas moich osobistych studiów poetyckich, a internet jest nieprzebrany. Herbert, Miłosz, Różewicz czy Szymborska – to nazwiska wynikające choćby z faktu, że w „moich” latach nic innego w księgarniach nie było, a i te pozycje dostawało się spod lady... Do czasu swojego „debiutu” na Nieszufladzie nie specjalnie czytałem poezję; może dlatego, że wcześniej „wyrażałem się” tekstami do piosenek/utworów, z reguły okołobluesowych – i to mi wystarczyło. Po niedługim pobycie na portalu zauważyłem moc wiersza. Moc. Właśnie. Możliwość kondensacji uczucia czy emocji. Brodski, Larkin, Grochowiak, Hardy, O’Hara, Bishop, Ashberry, Donne, oczywiście Kaźmierski (z Nieszuflady; marginalnie znany, świetny współczesny poeta, dr psychiatrii, obecnie pracujący w Skandynawii).

Podczas gali Lubuskich Wawrzynów nawoływał Pan: czytajcie poezję. Poezja ratuje świat? Poezja i dobroć i więcej nic – jak pisał Norwid...

Tak, oczywiście, czytajcie poezję! Poezja (sama) nie uratuje świata, nie zbawi świata, nie będzie magicznym antidotum, ale świat BEZ POEZJI się nie uratuje. Tak jak nie uratuje się bez jakiejkolwiek myśli twórczej. Poezja to koncentrat: emocji, oczekiwań, dążeń i – spełnień.

Prywatnie czyta Pan tylko poezję, przede wszystkim poezję czy również gatunki prozatorskie? Proszę podzielić się z czytelnikami „Pasji Literackich” nazwiskami ulubionych twórców, tytułami książek.

Prywatnie czytam kryminały/thrillery... z solidnej półki, którą sam ustalam i oceniam po kilkunastu stronach, i decyduję: czytam albo kasuję. Na marginesie, moje Lobo wzięte jest z książki Jamesa Jonesa, autora znanego z pozycji *Stąd do wieczności* czy *Cienkiej, czerwonej linii*, a wyrażone w „pokątnym” kryminałku Smak ryzyka. Lobo znaczy: wilk. Szerzej: wilk – samotnik. Tyle. Ab ovo: mistrzem dialogu i narracji w moim osobistym kanonie czytacza jest Stephen King. Oczywiście – ikona – poza oceną, ale ma to swoje podstawy (patrzac warsztatowo, obiektywnie), niewielu jest w stanie dotrzeć choćby do podnóża góry, którą wybudował; a na szczyt – nieliczni, jednostki. Bardzo dobrze pisze Child (piękna, „męska” seria z Jackiem Reacherem...). Inspirowane są pozycje skandynawskie: Nesbo, Larsson (jest dwoje autorów z takim nazwiskiem), Mankell, Läckberg... Z poezji czytam z reguły teksty, które wynajduję mimochodem i nieustannie, Brodskiego i Larkina.

Z promocji tomiku w Gorzowie Wielkopolskim zapamiętałam kilka wypowiedzi i fragmenty wierszów: rodzi się po to, żeby umrzeć; nie wiemy, co będzie za chwilę; wszyscy jesteśmy kretami, przy-

szłość jest ślepa... Pana teksty wydają się dalekie od optymizmu, a jednocześnie bardzo prawdziwe. Teraz, gdy zmagamy się z epidemią, wybrzmiewają z podwójną siłą. Nie ma tego złego, co na dobre? A jak było dobre – kiedyś – co teraz?

„Teraz”? – „wszyscy jesteśmy kretami!” (jak zawsze). Rozwinę to: „Jutro nas zje” (albo nie), ale wracając: „wszyscy jesteśmy kretami” zupełnie niezależnie od tej chwilowej paniki. To „jutro” zje nas i tak, po prostu. Obecny stan jest „wyjątkowy”, bo cały świat umówił się, że ma taki być. Ostatni cytat dotyczył relacji w skali „mniejszej”, osobistej, a nawiązanie do sytuacji obecnej jedynie wskazuje zależność: od szczegółu do ogółu (lub na odwrót). Tu kłania się „motyl i jego efekt”.

Gdyby miał Pan sformułować ogólne przesłanie swoich wierszy, jak ono by brzmiało?

Hmm... Tzw. świat wcale się o Ciebie nie prosił. Nie jesteś niezbędny. Ale – skoro tu już jesteś, rób, co możesz i – bądź!

Czuje się Pan twórcą spełnionym?

„Wierszowo”? Tak. Oczywiście... chyba tak.

Pracuje Pan nad kolejnym tomikiem poetyckim? Natknęłam się nawet na informację o powieści, która czeka na wydanie. Czy to prawda?

Powieść – prawda. Podobno ukaże się w tym roku (a swoje już przeleżała). Będzie to absolutny zwrot językowy w porównaniu z dykcją wydanych tomików. Wierszy, w rozumieniu krótkich tekstów poetyckich, już nie piszę i (znów: chyba) nie napiszę. Wystarczy. Myślę o poemacie i na razie pozostaję przy myśleniu, choć kilka wątków się rozpisuje. Być może druga powieść. Mam pomysł, ale nie przesądzam. Jestem do tego stopnia leniwy, że bez większych wyrzutów sumienia mogę to sobie odpuścić.

Co prywatnie sprawia Panu przyjemność, daje radość? Czym lubi się Pan zajmować poza pisaniem?

Blues. „Przedwierszowo” i w trakcie byłem muzykiem (no, może: muzykantem). Blues od zawsze jest we mnie, a teraz, po latach poszukiwań, udało mi się skompletować grupę muzyków: absolutnie – artystów, którzy wyrażają chęć grania ze mną... Teraz jestem gitarzystą/wokalistą, z profesjonalnym zespołem instrumentalistów. Piszę autorskie teksty, gram co nieco, śpiewam i to także jest poezja!

Dziękuję za rozmowę. Życzę jak najwięcej radości z codzienności i spełnienia, również muzycznego. A w imieniu czytelników mogę chyba powiedzieć, że gratulując poetyckich laurów, niecierpliwie czekamy na powieści. **Monika Simonjetz**

Wywiad z Zofią Mąkosą – laureatką Lubuskiego Wawrzynu 2019 w kategorii proza, za książkę *Wendyjska Winnica*

Jest Pani dwukrotną laureatką Lubuskich Wawrzynów, Lubuszanką, której powieści ukazują się w ogólnopolskim wydawnictwie i cieszą się popularnością w kraju. Jak doszło do tego, że *Wendyjska Winnica* została wydana w Książnicy?

Najpierw chcę wyjaśnić, że jestem Lubuszanką z urodzenia, ale od 40 lat mieszkam w Wielkopolsce. Obecnie w miejscowości leżącej bardzo blisko granicy z województwem lubuskim. Pisałam powieść około dwóch lat czy nawet dwa i pół roku z nadzieją, że zainteresują nią jakieś wydawnictwo. Koleżanki z Kargowej, które przeczytały ją jeszcze w maszynopisie, sugerowały wizytę w gminie, która mogłaby zasponsorować wydanie. Uznałam jednak, że tego typu książce, powieści, gminne środki się nie należą. Mąż był przez wiele lat samorządowcem i wiem, że potrzeby samorządu są bardzo duże. Jeżeli już książki są w jakiś sposób finansowane przez samorządy, to publikacje popularnonaukowe. Takie, które na pewno nie znalazłyby uznania w oczach dużego wydawnictwa, bo są opracowaniami niszowymi. Dlatego uparłam się i wystąpiłam do wielu wydawnictw, chyba dziesięciu. Odezwało się tylko jedno. Wydawnictwo Książnica odpowiedziało dosyć szybko. W odpowiedzi znalazła się też sugestia, żeby jednak pisać kontynuację. Bardzo cieszę się, że zaopiekowało się mną wydawnictwo ogólnopolskie. Oficyny małe nie mają możliwości rozreklamowania nawet bardzo dobrej książki, zwłaszcza kiedy autor jest nieznany. Na reklamę, popularyzację przeznaczane są całkiem spore pieniądze.

Zatem od razu po *Cierpkich gronach* narodził się plan na trylogię?

Nie miałam takiego zamiaru. Kiedy ukończyłam *Cierpkie grona*, myślałam, że zajmę się innym tematem. Wydawcy uważają jednak, że jeżeli autor jest nieznany, to przez trylogię czy serię przyzwyczajają się czytelników do nazwiska. Czytelnicy sięgają po tom pierwszy, drugi, trzeci... Stąd na rynku tak wiele serii. Zostałam namówiona na kontynuację. Wpadł mi do głowy pomysł, żeby umiejscowić fabułę w tych okolicach, a mąż podpowiedział, że motywem łączącym może być winiarstwo.

Co zainspirowało Panią do powstania pierwszej książki. Jaka była geneza *Wendyjskiej Winnicy*?

Geneza jest bardzo złożona. Zawsze chciałam coś napisać. Nie mówię, że było to moje wielkie marzenie, ale czułam pewien niedosyt. Miałam świadomość, że jeszcze coś mogłabym robić, jakoś się sprawdzić. Pisywałam mniejsze formy. Wiedziałam, że potrafię. Przeszłam na emeryturę. Mąż został emerytem rok wcześniej i pracował nad książką o swojej miejscowości. Dużo rozmawialiśmy o sprawach związa-

nych z pograniczem, bo Karszyn (wieś rodzinna męża) to też jest też pogranicze. Występował tam ten sam problem: powstawanie nazizmu, przyjmowanie nazizmu na pograniczu, w małych miejscowościach, na prowincji. Zarówno Chwalim z *Cierpkich gron*, jak i Karszyn to miejscowości leżące po niemieckiej stronie granicy do 1945 roku. Ale miejscowości, w których mieszkali też Polacy. Ponieważ myślałam o pisaniu powieści, to przyszło mi do głowy, że pogranicze jest ciekawe i warto się nad tym tematem się pochylić. Jako nauczycielka historii miałam ten problem przemyślany, nie wchodziłam na zupełnie nieznany obszar. Poza tym dostępnych jest bardzo dużo publikacji na temat drugiej wojny światowej, hitlerowskich Niemiec, więc wystarczyło sobie wymyślić fabułę i te przemyślenia oraz efekt naszych rozmów zawrzeć w *Cierpkich gronach*.

A Winne miasto?

Powstanie *Winnego miasta* to, moim zdaniem, bardziej zasługa Książnicy niż moja. *Winne miasto* jest w jakimś sensie też książką akcji. Ponieważ w powieści jest sporo polityki, czytelnicy mogliby się zanudzić – stąd czasami wręcz szalone zwroty akcji. Mężczę bohaterkę w różny sposób, ale żadne z wydarzeń, które się zadziały w *Winnym mieście*, nie jest niemożliwe. Wszystkie są logicznie uzasadnione i wplecione w historię. Często przywołuję na spotkaniach autorskich przykład pożaru, w którym Matyldaomal nie straciła życia. Ten pożar wydarzył się naprawdę i jest opisany w książce *Powiat zielonogórski w latach 1945-1948*, autorstwa Tadeusza Dzwonkowskiego. Podobnie jak działalność służby bezpieczeństwa i powojenna walka z PSL. Cenną bazę wiadomości pozyskałam także dzięki Przemysławowi Karwowskiemu – wybitnemu znawcy zielonogórskiego winiarstwa.

Z postawia dowiadujemy się, że wielu bohaterów miało swoje pierwowzory w rzeczywistości: państwo Rausz z ulicy Piaskowej to dziadkowie Przemysława Karwowskiego. Na kartach powieści uwieczniony został także Grzegorz Zarugiewicz – twórca powojennego winiarstwa zielonogórskiego. A Marta i Matylda? Marta mieszkała w Chwalimiu – tak jak Pani w dzieciństwie. W Marcie lub Matyldzie odnajdziemy coś z autorki powieści?

Marta i Matylda to postaci fikcyjne. Obie bohaterki w jakimś sensie dostały coś ze mnie, ale myślę, że tylko w takim znaczeniu, jak od każdego autora, który dzieli się bohaterami swoimi myślami, przeżyciami bądź obserwacjami. Żadna z nich – ani Marta, ani Matylda – nie jest mną. Matylda staje się mną w chwili, kiedy przymierza strój kąpielowy. Miałam koszmarny strój kąpielowy, kiedy byłam nastolatką i dokładnie go opisałam w *Cierpkich gronach*. Niektóre postacie

są obdarzone cechami charakteru bliskich. Teściowa Marty – Sabina ma coś z mojej babci, czyli teściowej mojej mamy, ale również Marta ma coś z teściowej mojej mamy i z mojej mamy. To są takie połączone obserwacje.

Zrobiła Pani naprawdę rzetelny rekonesans. Z jednej strony fabuła powieściowa, więc elementy będące przełożeniem wyobraźni pisarki, z drugiej – precyzyjne fakty, adresy, miejsca, nazwy. Książka staje się swego rodzaju powieściowym przewodnikiem po regionie. Uczestniczyła Pani w drugim spacerze winiarskim po Zielonej Górze, a szósty spacer odbywał się już śladami Matyldy Neumann, bohaterki *Winnego miasta*.

Tak, w organizację spaceru bardzo się zaangażowali Przemysław Karwowski, Szymon Płóciennik i Bartłomiej Gruszka. Nie spodziewałam się, że będzie to takie duże wydarzenie. Wzięło w nim udział ponad 100 osób.

Pisząc *Winne miasto*, chyba przeszła Pani wcześniej tę trasę wielokrotnie?

Nie, nawet na tym spacerze winiarskim, witając uczestników, powiedziałam, że jestem jak Bolesław Prus piszący *Faraona*. Co prawda, poznałam Zieloną Górę jako studentka. Często też przyjeżdżam do Zielonej Góry. Ale zazwyczaj chodzi się utartymi szlakami. Trasą tę owszem szłam, ale chyba na drugim spacerze winiarskim.

To Pani wystarczyło, żeby ulokować bohaterów w konkretnych miejscach, kamienicach?

Od Tomasza Czyżniewskiego otrzymałam mapkę Zielonej Góry z 1945 roku. Wyświetlałam ją sobie wtedy, kiedy potrzebowałam gdzieś się udać. Przez cały czas przygotowania powieści śledziłam wpisy w mediach społecznościowych, zwłaszcza posty zamieszczane przez pasjonatów historii miasta: Tomasza Czyżniewskiego, Grzegorza Biszczanika i Szymona Płóciennika. Już wiedziałam, jak potoczą się losy Matyldy w Zielonej Górze i tylko sobie dorzucałam szczegóły dziejowe. Przejrzałam cały „Łącznik Zielonogórski” z artykułami historycznymi Tomasza Czyżniewskiego. Z każdego numeru wynotowałam informacje, które mogły mi się przydać. Nawet najdrobniejsze szczegóły. Na przykład, gdzie Zakład Oczyszczania Miasta wywoził śmieci. Tło historyczne powieści w większości tworzą fakty, nie zmyślenia.

Można zatem powiedzieć, że razem z czytelnikami pierwszy raz odwiedzała Pani pomieszczenia, w których żyły powieściowe bohaterki?

Pierwszy raz byłam w kamienicy przy ul. Wandy podczas spaceru winiarskiego. Przyznam, że zupełnie inaczej sobie wyobrażałam jej wnętrze. Kiedy weszłam do środka, okazało się, że panuje tam straszna ciasnota. Również piwnica była w moich wyobrażeniach znacznie większa. A w Winiarni, jeśli chodzi o Lubuską Wytwórnę Win, pracowałam na prakty-

kach studenckich. Zakład jeszcze działał i przez miesiąc tam się naprawdę napracowałam. Kiedy Matyldę bolał mięśnie po opróżnieniu płachty, z której wyciśnięto moszcz jabłkowy, to mnie też podobnie mięśnie bolały.

Spacer śladami postaci literackich, wejście do kamienicy, gdzie wynajmowała pokój główna bohaterka, odwiedzenie miejsca, gdzie pracowała... To chyba lepsze niż zobaczyć ekranizację przeczytanej powieści.

Wiele osób mówi mi, że tę trylogię, kiedy już powstanie, warto sfilmować. Nie wiem. Mam złe doświadczenia z ekranizacjami moich ulubionych książek. Natomiast, jeśli chodzi o Chwalim czy Kargową, to jakby samorzutnie rodzi się ruch wycieczkowy czytelników. Co jakiś czas słyszę, że ktoś był w tych miejscowościach. Ubiegłego lata odwiedził nas pan, który razem z żoną specjalnie przyjechał z Pomorza. Wynajęli sobie pokój i przez cały dzień jeździli i zwiedzali. Dowiedział się, że mieszkam w pobliżu, więc przyjechał rowerem, bo chciał się spotkać z autorką. Opowiadał, że w Chwalimiu nie byli pierwszymi literackimi turystami.

Zatem nie są to jednostkowe wizyty?

Raczej nie. *Cierpkie grona* ukazały się w maju, a już w czerwcu Towarzystwo Miłośników Ziemi Babimojskiej zorganizowało rajd rowerowy z Babimostu. My mieszkamy przy trasie Babimost – Kargowa nad jeziorem Małe Liny, gdzie umieściłam akcję wymyślonej przeze mnie legendy o dzikich gęsiach. Mąż przeczytał ową legendę dla całej grupy (około 50 osób). Później razem z Dyskusyjnymi Klubami Książki z Trzciela i z Kargowej uczestniczyłam w wycieczce kargowskimi i chwalimskimi śladami *Cierpkich gron*. Była to profesjonalna wycieczka autokarowa.

Spędziłam kilka dni w świecie Pani ostatniej powieści. Przyznam, że pierwsza część *Winnego miasta* jest bardzo sugestywna. Sceny przemocy i bezwzględność ludzka przerażają, zostają w głowie czytelnika, wręcz towarzyszy mu poczucie swoistego niepokoju, które jednocześnie każe wracać do książki i czytać aż do ostatniej strony. Czy pisząc książkę, odkłada Pani swoją codzienność na półkę, by żyć życiem bohaterów, pozostać w tym świecie, dopóki nie zamknie się dany wątek?

Zwykle piszę cyklami. Pracuję kilka dni i robię przerwę, bo jestem zbyt zmęczona. Kiedyś napisałam jednorazowo dziesięć stron, ale to już było bardzo dużo. Zwykle trzy, cztery, pięć stron i poświęcam na to cały dzień. Dobieram słowa, szukam wyrazów bliskoznacznych, przedstawiam wyrazy w zdaniach. W *Cierpkich gronach* najwięcej czasu zajęły mi opisy przyrody. Namówił mnie do nich mąż. Nie chciałam, żeby były nudne. Miały oddać ten raj, który Niemcy utracą. Teraz niektórzy twierdzą, że przez te opisy jestem trochę jak Eliza Orzeszkowa.

Zastanawiam się nad tytułami. Wydaje się, że nie są jednoznaczne. *Cierpkie grona* nie tylko dotyczą wino-

gron, ale też – być może ciężkich – losów bohaterów, natomiast winne miasto to nie tylko miasto wina, ale i miasto winne utracie złudzeń?

Czytelnik musi sam sobie odpowiedzieć na to pytanie. Tytuł *Cierpkie grona* to rezultat wymiany maili z wydawnictwem. Proponowaliśmy sobie różne tytuły. *Cierpkie grona* wywodziły się z Biblii. Skoro trylogii miał towarzyszyć motyw winiarski, to zaczęłam szukać w Biblii, bo też Marta często do niej sięgała. Zaproponowałam *cierpkie jagody* w oparciu o fragment prorocтва biblijnego. Wydawnictwo zasugerowało *cierpkie grona* i tak zastało. W jednym z tłumaczeń Biblii pojawiają się *cierpkie grona*. Jeżeli chodzi o drugi tom, to tytuł przyszedł mi do głowy w nocy. Czy w tytule chodzi o winy? Na pewno pojawia się problem winy Niemców, winy Polaków, którzy po nich byli, ale to nie jest ocena z góry negatywna. Wina jest skutkiem popełniania błędów czy celowego złego postępowania. Jest wpisana w egzystencję człowieka.

W laudacji jury Lubuskiego Wawrzynu Literackiego czytamy o grze znaczeń opartej na homonimicznej wymienności, symbolicznym imaginariu. Pada też stwierdzenie, że dopisuje Pani swoje literackie postscriptum do problemu winy. Czy Pani się z tym zgadza?

Jak mogłabym się nie zgodzić! Jestem z wykształcenia nauczycielką historii i pewnych sformułowań dotyczących teorii literatury nawet nie znam. Wydaje mi się jednak, że to, co odczytują literaturoznawcy w *Winnym mieście* czy *Cierpkich gronach*, jest we mnie, tylko nie zostało nazwane. Skoro ujęte zostało w książce i jest do odszukania, to znaczy, że pewne zamiary, przemyślenia tylko zostały ubrane w adekwatny język.

Bardzo uważnie analizuje Pani relacje międzyludzkie. Historie narodów, zwłaszcza losy polsko-niemieckie. Losy wypędzanych. Tworzy Pani swoisty pomost między narodami. Czy myśli Pani o przetłumaczeniu *Wendyjskiej Winnicy* na język niemiecki?

To jest temat-rzeka. Jak tylko powstały *Cierpkie grona*, ktoś w wydawnictwie napomknął, że książka jest dobra do tłumaczenia. Mówiono o targach we Frankfurcie... Okazało się to bardzo trudne. Powieść jest obszerna. Przetłumaczenie kosztowne. Nie wiadomo, jak książka nieznanej autorki przejęłaby się na niemieckim rynku.

W posłowniu zarówno do pierwszego, jak i drugiego tomu dziękuje Pani uczestnikom Dyskusyjnego Klubu Książki w Kargowej. Tutaj wszystko się zaczęło?

Zaczęłam pisać powieść, kiedy mieszkaliśmy w Siedlcu koło Wolsztyna. Tam nie ma klubu książki. Dużo czytam i lubię rozmawiać o książkach, ale prawdę mówiąc, trochę interesownie przystąpiłam do kargowskiego klubu. Chciałam poznać opinie potencjalnych czytelników. Panie dostały pierwszą część książki, która już była do przeczytania i później, kiedy napisałam drugą część – również. To były bez-

cenne konsultacje. Wśród klubowiczek są osoby, które pochodzą z rodzin autochtonów. Opowiadały, jak w Kargowej było jeszcze w czasie wojny, czy też krótko po wojnie. Dzięki temu udało mi się zawrzeć w powieści atmosferę Kargowej nazistowskiej. Pewnego dnia, już po opublikowaniu powieści, spotkała mnie emerytowana nauczycielka, która była nastolatką w czasie wojny. Nie należy do Klubu i nie czytała książki wcześniej. Była bardzo zaskoczona, skąd wzięłam tyle szczegółów, skąd czerpałam wiedzę, bo ona pamięta, że dokładnie tak było. Dzięki spotkaniom w Dyskusyjnym Klubie Książki łatwiej było sobie to wszystko wyobrazić.

Spotykała się Pani z dawnymi i obecnymi mieszkańcami Kargowej, Chwalimia, Zielonej Góry. Ile osób zostało przepytanych na potrzeby powieści?

Bardzo dużo, dokładnie nie jestem w stanie policzyć. Kiedy ukazał się pierwszy tom, dostałam dziesięć egzemplarzy autorskich. Niestety, nie wystarczyło, żeby obdarować te osoby. Dużo zabrakło. Przy drugim tomie otrzymałam 25 egzemplarzy.

Lubuski Wawrzyn Literacki 2017 roku za *Cierpkie grona*, Wawrzyn Literacki 2019 za *Winne miasto*. Czy to prawda, że nie zamierzała Pani zgłaszać *Winnego miasta* do 26. edycji Lubuskiego Wawrzynu Literackiego?

Nie chciałam, ponieważ wydawało mi się, że kapituła będzie czytała powieść od środka. Każdego roku jest inny skład komisji. Kiedy jury dostaje tylko drugi tom, to wydaje się trochę nie na miejscu. Miałam w związku z tym wątpliwości.

Jakie lata obejmuje tom trzeci?

Jest trochę dziwnie. Tom drugi obejmuje lata 1945-1948 (do lutego 1948), a trzeci tom zaczyna się w roku 1945 do 1950. W drugim tomie pominęłam wątek berliński. I do tego wracam.

Zapewne czytelnicy mają niedosyt, bo przecież między mężem Matyldy a żoną, która się odnalazła, tkwi jakaś tajemnica, a na końcu *Winnego miasta* okazuje się, że Matylda urodziła syna, chociaż większość czytelników utwierdzona była w innym przekonaniu. Ten ostatni fakt był zaskakujący. Umie Pani zwodzić czytelników, budować napięcie, a przy tym operuje Pani spójną narracją. Jako czytelnik doceniam odwołania, które przypominają losy bohaterów z pierwszej części. Czy wątek Matyldy znajdzie kontynuację w ostatnim tomie trylogii?

Tak, trzeci tom to przede wszystkim dalsze losy Matyldy. Ale jeżeli chodzi o jej dziecko, to dawałam sygnały, że ono jest, można było się domyślić. Jestem w stanie wskazać konkretne strony tekstu z odpowiednimi sugestiami. Na początku wprowadziłam celowe zmylenie czytelnika i jak widać, skuteczne. Być może dlatego zakończenie okazało się zaskakujące.

Mam nadzieję, że ostatnia część trylogii zostanie zgłoszona do Lubuskich Wawrzynów.

Nie, nie chciałabym, by samo zgłoszenie mojej książki spowodowało, że ktoś młody zniechęci się do udziału w konkursie. Powtarzający się zwyczaj zabija konkursy.

Zawsze lubiła pani pisać...

Och, lubiłam, kiedy nauczyciel zadawał wypracowania do domu z języka polskiego. Wtedy miałam pewność, że będzie piątka. W dzieciństwie, jeżeli chodzi o wypracowania, dużą rolę odegrała moja mama. Była nauczycielką wielozadaniową po liceum pedagogicznym i kiedy biedziłam się nad wypracowaniem, bo chciałam, żeby było ciekawe, rozmawiałam z mamą. Ona doradzała, o czym jeszcze mogę napisać. Mama uczuliła mnie na przekaz, który może być ciekawszy, jeśli autor bardziej się przyłoży, postara. W klasie siódmej i ósmej miałam też dobrego polonistę. To był wtedy młody nauczyciel, zaraz po studiach. Obecnie dyrektor Biura Regionu Kozła, pan Szczepan Sobczak. Pamiętam, że kiedy przejął naszą klasę, język polski stał się jakby inny. To był polonista z powołania.

Gdzie znajdziemy pierwsze publikowane teksty Pani autorstwa?

Kiedy byłam nauczycielką, pisywałam sprawozdania z różnych okazjonalnych uroczystości. Zdarzało się też, że w trakcie wydarzeń politycznych na skalę lokalną pisałam felietony polemizujące na przykład z władzami. Byłam nauczycielką historii i wiedzy o społeczeństwie, więc w wielu sprawach się orientowałam i wyłapywałam czasami niewygodne fakty. Pierwsze teksty literackie stworzyłam dopiero, kiedy przeszłam na emeryturę i zamierzałam napisać powieść. Stwierdziłam, że trzeba rozpiścić się, poćwiczyć, tak jak sportowiec trenuje przed zawodami. Napisałam kilkanaście opowiadań. Były one związane z moimi przeżyciami, emocjami. Chyba trzy ukazały się w „Pro Libris”. Jako pierwsze zostało opublikowane opowiadanie, które wysłałam na Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Eugeniusza Pauksztzy, organizowany przez bibliotekę w Kargowej. Tekst napisałam w ciągu trzech dni. Zająłam wtedy trzecie miejsce. Później w „Pro Libris” ukazało się opowiadanie, które wysłałam na międzynarodowy konkurs literacki do Tuchowa. Wzięło w nim udział ponad dwustu uczestników. Zdobyłam wyróżnienie. Nagrodą była publikacja w antologii zatytułowanej *Jabłoni*. Opowiadanie nosiło tytuł *Gdzie jest mój dom* i wiązało się z przeży-

ciaми, jakie towarzyszyły nam i naszym niemieckim przyjaciołom w podróży do ich kraju lat dziecińczych, do miejscowości Gościszów koło Bolesławca. Jedno z moich opowiadań zostało opracowane i wystawione jako monodram przez Alfreda Paszaka, długoletniego konferansjera zielonogórskiej filharmonii. Kiedy napisałam książkę, przestałam pisać opowiadania.

Ma Pani plany na kolejne powieści?

Mam. Jest taka opinia, że jeżeli pisarz nie ma planów, to niedobrze. Kiedy pisze jedną powieść, już powinien mieć plan na następną. Mam plany, ale oczywiście nie chcę ich za bardzo zdradzać. Nie będą to te same czas czasy. Może powiem tak: XVII wiek, województwo lubuskie.

Rodzina daje Pani poczucie spełnienia. Wspiera Panią w procesie pisania, zbierania informacji? Autorką zdjęcia na stronie Książnicy i okładkach książek jest Gosia Mąkosza...

Tak, autorką zdjęcia jest córka, która fotografuje. Ukończyła malarstwo sztalugowe w Zielonej Górze. Jest absolwentką Technikum Hodowli Koni. Hoduje i maluje konie. Jej specjalnością jest fotografowanie koni, ale portretuje też ludzi. Wspierają mnie również synowie i synowa. Kibicują, cieszą się z sukcesów. Dużo pomaga mi mąż: w nawiązywaniu kontaktów, szukaniu materiałów. Mąż zna język niemiecki. Wszędzie mi towarzyszy, zawsze jest ze mną. Jest moim wsparciem.

Mąż też jest pierwszym czytelnikiem?

Cierpkich gron tak. *Winnego miasta* już nie miał czasu czytać. Tu pierwszym czytelnikiem był Przemysław Karwowski. Podziwiam jego wiedzę.

Ostatnio w Norwidzie był profesor Bralczyk i mówił o swoim patencie na pisanie, jakim są: słowo i rozmowa. A Pani ma swój patent na pisanie?

Nie wiem, czy to jest patent. Na pewno, jeżeli będę pisała dalej, to będą to powieści z historycznym tłem.

Dziękuję za rozmowę. Raz jeszcze gratuluję dotychczasowych osiągnięć. Życzę wiernych czytelników i satysfakcji z pracy twórczej.

Monika Simonjetz

„PASJE LITERACKIE” Czasopismo Związku Literatów Polskich – Oddział w Zielonej Górze i Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze

Adres do korespondencji: 65-547 Zielona Góra, osiedle Śląskie 5g/10. E-mail: marcin.radwanski@poczta.fm

Redaktor naczelny – Marcin Radwański

Współpraca: Agnieszka Ginko-Humphries, Monika Simonjetz, Halina Bohuta-Stapel. Korekta: Joanna Smerda

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku